

jej wiersze stają się opłatkami ziemi



Niesamowite, że są jeszcze tacy ludzie, którzy kochają kocie łby, obszczone przymurówki, gdzie „nawet wiatr i płomień słońca źle się czują”, a oni kochają swoją golgotę

Otrzymałem do ręki książkę dziwną i niesamowitą zarazem, dziwną bo obraz poetycki umieszczony na popegeerowskiej ziemi nie jawi się w kilku wersach, ale jest to wręcz epepeja przejmującej przemijającej epoki życia ludzi, którzy doznali przemian gospodarczych w naszym kraju i to jeszcze nie tak dawno.

Chodzi o wiersze Anny Karwowskiej w tomiku „Kocie łby”. Poetka odważyła się pisać o sobie, o swoim życiu co może wydawać się wręcz urągające godności ludzkiej pod koniec XX wieku - w sposób otwarty i bardzo poetycki. Gdyby żyła w innym środowisku, w innej sytuacji materialnej też by ją było stać jako artystkę pióra na napisanie o czymś innym.

Niesamowite zarazem, bo ta książka ukazuje postać osobę (podmiot liryczny) jako osobę dojrzałą w życiu godzącą się na los, jaki zgotowała jej ojczyzna. Niesamowite, bo stanowi pokaz niegasnącego uczucia patriotyzmu do ojczyzny. Jej poetyka to liturgia myśli, liturgia cnót ludzkich, liturgia ukrytego patriotyzmu.

Jej patriotyzm wyraża się zapytaniem, apelem. W wierszu „Pytania do Ojczyzny” czytamy: „aby chociaż myśli nie przymierały głodem / aby wiedzieć o czym śnią kamienie nikt nawet nie śni / aby coś zmienić pytam Ojczyznę / na każdym kamieniu piszę polskim słowem / niech każdy jak najdłużej pamięta moje wiersze / to zakątek ziemi na który Bóg machnął już ręką”.

Niesamowite, że jest taka poezja, to tak jakby w polskiej muzyce rozrywkowej zabrakło piosenek Janusza Laskowskiego „Beata”, „Kolorowe jarmarki”, tak samo jakby zabrakło w literaturze polskiej wierszy ks. Twardowskiego. Przypomniał mi się zapis ewangeliczny o ubogiej wdowie, która wrzuciła do skarbony świętynnej „Wdowi grosz”, ale wymowa jej uczynku jest znana na całym świecie. Również kinematografia polska byłaby uboga, gdyby nie film „Rejs” z rolą graną przez Himilbsbacha.

Nasza poetka Karwowska nie będzie się ubiegać o udział w olimpiadzie sportowej, przecież nie jest Justyną Kowalczyk, nie jest też senatorem Kutzem. Niesamowite, że są jeszcze tacy ludzie, którzy kochają kocie łby, obszczone przymurówki, gdzie „nawet wiatr i płomień słońca źle się czują”, a oni kochają swoją golgotę.



Niesamowite jest to, że Karwowska poprzez swoje wiersze uwypukliła zagadnienie przemian społecznych nie tylko w Polsce, ale także w byłych krajach pokomunistycznych.

Zagadnienie o tyle ciekawe, że jest typową ilustracją tego czego dokonywał Lenin, kumulując ludzi w kotłochozach, zakładach pracy. Dzisiaj dzieje się odwrotnie. Ale postęp cywilizacyjny i inne reguły gospodarcze narzucają swój patent na cierpienie i męczeństwo. W historii ludzkości cierpienie, męczeństwo zawsze

występowało. Jednakże w XXI wieku męczeństwo jawi się w ukrytych formach wyzysku, gdzie władza na pewne przejawy wolności rynkowej nie może reagować. Wobec tego męczeństwo wielu ludzi skupia się na sferze emocjonalnej, psychicznej, gdyż nie muszą już chodzić nago i boso, ponieważ przyodziewek można kupić na wagę w „Lumpeksie”, albo znaleźć przy śmietniku. Tylko co począć z perspektywą jak jej brak. To jest martyrologia tych ludzi, którzy swą godność człowieka sprowadzać muszą do reguły - jak tu przeżyć do jutra.

Już wkrótce przestaniemy używać określenia ludzie z pegeeru, ziemia popegeerowska. Niemniej martyrologia ludzi, którzy będą pozbawieni chleba naszego powszedniego, którym powinniśmy się dzielić bez względu na przemiany polityczne, gospodarcze, obyczajowe, będzie coraz większa na całym świecie. Obym się mylił.

Mimo tak przygniatającego obrazu życia codziennego poetki, jej wiersze stają się opłatkami ziemi, wnoszą tyle wzniosłych doznań. Poetka karmi czytelnika swymi okruszynkami słowa jak najtkliwsza matka, choć jest w nich ukryta golgota kochającej matki.

*„kochałam nocą we śnie
aby nie wstydzić się
tak po cichu chyłkiem
aby nie widziano
kochałam tak po swojemu.”
(„Kocham”)*

W wierszu „Moja twarz” autora napisała: „oczy wkleść jak kałuże / i wyblakłe niczym dwa księżycy / próbuję natchnąć kamień aby ożył”. Anna Karwowska natchnie na pewno wielu czytelników nie tylko swojej poezji, ale też wskaże na drogę gdzie szukać tej dobrej szczerzej, ludzkiej poezji. Aby tak się stało potrzebne są pewne pomocne dłoń i dobre serca życzliwych osób.

Myślę, że gdyby wójt jej gminy wysłał ten tomik do Prezydenta RP, to czy nie skończyłoby się to wyróżnieniem

godnym dla jej zasług dla kultury? Należy pamiętać, że autorka swe wiersze dedykuje ojczyźnie, niejako daje je nam wszystkim. Czy odbierzemy to jako dar, czy pomożemy tym darem dzielić się z innymi? Bo przecież zasługuje na to, aby jej wiersze i postawa stały się godne upowszechnienia, w tym świecie, gdzie coraz bardziej zapominamy, skąd wyszliśmy, dokąd zmierzamy.

Marian Kwizdiński
Białogard



Różne bywają sposoby urozmaicania sobie życia. Czasem osiągamy radosną satysfakcję obserwując ptaki na okiennym parapecie albo podglądając zza firanek rodzajowe scenki ulicznego spektaklu. Dla mnie najmiłym jest grzebanie w stosach przeczytanych dawno periodyków, wracanie do tkwiących w pamięci co ciekawszych artykułów, felietonów a szczególnie ulubionych esejów

o sposobach osiągania satysfakcji

Sięgnąłem więc do sterty tygodnika ANGORA (zamieszcza czasem jakiś mój wiersz lub artykuł) będącego źródłem różnorodnych przedruków z prasy światowej, rodzimych artykułów i opinii o najróżniejszej tematyce i odnalazłem esej pełen subiektywnych przemyśleń i opinii dotyczący losów i miejsca poezji w codziennej, polskiej rzeczywistości. Autorem jest Jan Tomkowski, profesor literaturoznawstwa historyk, prozaik i eseista pracujący w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. W sposób wyjątkowo komunikatywny przedstawił swój pogląd na zadziwiająco niski poziom edukacji szkolnej w odniesieniu do całokształtu zagadnień, dotyczący literatury i roli jaką ma do spełnienia w intelektualnym rozwoju młodego pokolenia. Zanika zainteresowanie poezją w szkołach, księgarniach i bibliotekach. Pozostają jedynie nieliczne grupy sympatyków oraz twórców nie mogących jednak uzyskać rzetelnej opinii recenzentów zajmujących się zawodowo krytyką literacką. Jednym słowem obraz czarno malowany. Aby tej smutnej rzeczywistości dodać odrobinę blasku postanowiłem - jako pozytywny przykład działalności budzący wiarę i nadzieję - zapoznać Pana Profesora z działalnością naszej słupskiej „wtorkowej” grupy poetyckiej. Napisałem do niego list, którego treść pozwałam sobie przedstawić w pełnym brzmieniu:

Szanowny Panie Profesorze!

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem Pański artykuł zamieszczony w witrynie ANGORy zatytułowany „Książki i wiersze” Temat jest mi bliski, ponieważ należę do grona miłośników poezji, czytających i piszących. Moje wieloletnie zainteresowania poezją wyzwoliły potrzebę pisania po spotkaniu z przyjaciółmi na zjeździe z okazji 60-lecia Gimnazjum. Napisałem z tej okazji okolicznościowy wierszyk: „Kiedy przyjdzie ci ochota poszperać w starej szafie - z szuflady niby srebrne wota wysypią się fotografie itd.” Ten

TYGODNIK
ANGORA
WARSZAWA-CHICAGO-DORTMUND-TORONTO-NOWY JORK Nr 37 (952) Rok XIX 14 września 2008 r. Cena 3,50 zł (w tym 7% VAT)

PRZEGLĄD PRASY KRAJOWEJ I ŚWIATOWEJ
Nakład: 457 789 egz.

Poczet Nazwisk Polskich (185)
Wóz i liszka

Dzień dobry Panie Henryku!
Wstępuję w związek małżeński i prócz zmiany stanu cywilnego czeka mnie zmiana nazwiska. Mój przyszły mąż nosi dość rzadkie imię - Woźakowski. Z powodu epizodycznej obecności na liście nazwisk polskich budzi ono trudności i kontrowersje w zapisie. Mój narzeczony jest często tytułowany per

Dworzakowski, Woźniakowski, Wora-kowski. Z prywatnego śledztwa wynika, iż najwięcej ludzi noszących to nazwisko mieszka w województwie lubelskim w miejscowości Małochwiej. Doszuki-waliśmy się (chyba na wyrost) pochodzenia ukraińskiego nazwiska, ale nie znaleźliśmy danych, które by to potwier-dziły. Ostatnie nasze teza opiera się

na domniemaniu, iż nazwisko Woźakow-ski powstało wskutek złego zapisu in-ne-go, bardziej popularnego nazwiska. Agnieszka Borkowska, wkrótce Woźa-kowska.

Szanowna Pani Agnieszko, domnie-mywy Państwo prawidłowo. Nazwisko jest lokalną modyfikacją formy utworzo-nej od czasownika wozić albo rzeczow-nika wóz. Podobnie jak Woźkowiak,

Woźala czy Wóżycki. A prawdą jest, że nawet małe odstępstwo fonetyczne wprowadza niejaki popłoch wśród lu-dzi, którzy przywykli do form najczę-szniej występujących. W zasobie na-zwisk współcześnie używanych znajdu-jemy 102 nazwiska Woźakowski.

JAN CHRYZOSTOM PRZYDOMEK
henryk.martenka@angora.com.pl

Skąd pochodzi nazwisko Liszka? Źródła mówią, że od słowa lichy to znaczy fałszywy, zdradli-wy podstępny. Słownik etymologiczny mem dzisiejszego lisa. Źródła wskazują, że słowo lis ma korzenie w wyrazach lich, liszka, prawdopodobnie od liti. Było to wariantem polszczyzny słowiańskiej (p...

okolicznościowy wers spowodował napływ inspirujących tematów, wspomnień i marzeń, które znalazły swoje miejsce w ukrywanym skrzętnie zeszytcie. Zupełnie przypadkowo znalazłem się na spotkaniu grupy poetyckiej o nazwie „Wtorkowe Spotkania Literackie”. To nieformalne stowarzyszenie działające od wielu lat w Słupsku przy Starostwie Powiatowym, pełniącym również rolę mecenasa kultury, opiekującego się twórcami poezji nieprofesjonalnej. Spotkania nasze (zostałem bowiem przyjęty do grona) odbywają się raz w miesiącu. Wypełniamy je czytaniem swoich wierszy, dyskutujemy - często wywołując prawdziwą burzę mózgow - na przeróżne tematy. Zastanawialiśmy się na przykład nad sensem nazwy „nieprofesjonalna poezja”. Osobiście nie rozumiem, czym uzasadnia się to określenie? Czy zależy to od statusu i pozycji zajmowanej przez piszącego? Oceny wiersza przez krytyków, która przecież może być różna i nie zawsze trafiona? A może ma to coś wspólnego z komercją? Nie doszliśmy do porozumienia, więc niech pozostanie nieprofesjonalna. Skład osobowy naszej grupy gwarantuje atrakcyjny i urokliwy przebieg spotkań. Przyjeżdżają bowiem poeci (piszący wiersze brzmi skromniej) z wielu miast, nie tylko z województwa pomorskiego w różnym wieku i zróżnicowanej profesji. Są też poeci piszący od lat, zdobywcy wielu nagród i odznaczeń, członkowie Oddziału Związku Literatów Polskich w Słupsku (profesjoniści?). Gościliśmy też grupy poetów i

recenzentów z Litwy i Węgier. Jednak większość z nas nie nosi laurów, nie mając dzięki temu obciążeń wynikających z obowiązku przestrzegania poprawności twórczej. Te różnice w umiejętnościach nie stanowią (dzięki Bogu) przeszkód we wzajemnych układach towarzyskich, nie wywołują animozji czy złośliwych komentarzy. Poprzez szacunek dla własnej twórczości stworzyliśmy sympatyczną grupę pasjonatów, bogatych w wyobraźnię pełną marzeń i zadowolonych z wzajemnego towarzystwa. Opiekunem i twórcą stowarzyszenia jest pan Zbigniew Babiarczyk-Zych. Człowiek o niespożytej energii, zaangażowany i wyjątkowo cierpliwy (wiadomo jak to bywa z poetami...). Doskonały organizator, były dziennikarz i publicysta jest naszym pierwszym krytykiem i doradcą. Dzięki swojej operatywności umożliwił umieszczenie wierszy w wydawanej od dziesięciu lat Antologii Poezji. Jako pracownik Starostwa potrafił przekonać i uzyskać środki (niemate), aby antologie mogły się ukazać drukiem. Każdy z autorów otrzymuje bezpłatnie(!) cztery egzemplarze, którymi dysponuje wg własnego uznania. Uroczyste promowanie odbywa się w pięknym Pałacu Lustrzanym w Damnicy i bywa połączone (np. w tym roku) z Konkursem Poezji Śpiewanej. Antologie nie mogą być sprzedawane i większość z nich, jako dary twórców trafia do bibliotek publicznych, szkolnych i na strony internetowe. Wielu z nas wydaje również swoje tomiki własnym staraniem, korzystając ze wsparcia sponsorów, których pozyskanie nie dość, że jest upokarzające dla twórców, to zdobycie ich przychylności graniczy z cudem.

Szanowny Panie Profesorze! Napisałem do Pana jako osoby publikującej swoje spostrzeżenia w dziedzinie literatury, aby dać wyraz uznania dla Pańskich starań o popularyzowanie słowa pisanego jako niezbędnego dla rozwoju ludzkiej myśli. W pełni zgadzam się z Pańską oceną obecnej sytuacji zmierzającej do zaniku chwalebne go obyczaju traktowania czytelnictwa jako niezbędnego pokarmu rozwijającego intelekt, szczególnie wśród młodzieży otepianej i pozbawianej romantycznego uniesienia poprzez internetowe znieczulenie. Przesyłam Panu ostatnio wydany tom Antologii Poezji aby zobrazować naszą spontaniczną, amatorską (nieprofesjonalną) działalność. Jeśli zechciałby Pan ustosunkować się do tego co robimy i poddać ją własnej profesjonalnej ocenie, będę niezmiernie wdzięczny. Na zakończenie parę słów o so-

bie. Pochodzę z rodziny nauczycielskiej. Rodzice byli nauczycielami przedmiotów humanistycznych. Niestety, już nie żyją. Ojciec zginął w Mauthausen Gussen, matka, prowadząc tajne nauczanie w okresie wojny, uwieczniona została tablicą pamiątkową umieszczoną na kościele w małej wsi Strzałków koło Radomska. Wraz z rodziną mieszkamy na Kaszubach - krainie rybnych jezior i lasów pełnych borowików. W wolnych chwilach piszę wiersze, pielęgnuję działkę ogrodową i wspominam moją ukochaną wieś Modrzewek dźwięcząca kogucim paniem i pachnąca akacjami. Jeśli będzie Pan kiedyś przejazdem w okolicach Szwajcarii Kaszubskiej, serdecznie zapraszam na kawę. A gdyby w dodatku zechciał Pan odwiedzić Słupsk i posłuchać dyskusji nieprofesjonalnych poetów z Klubu „Wtorkowe Spotkania Literackie”, byłbym szczęśliwy.

Andrzej Szczepanik, Bytów

List miał być dowodem, że są gdzieś wysepki szczęśliwe, na których pędzą żywot ludzie piszący wiersze, czerpiąc z tej niecodziennej profesji radość twórczą i satysfakcję. Egzemplarz Antologii „Z ziemi do niebios” oraz mój tomik „Inne we mnie” załączone do listu (do czego ze skrucą się przyznaję) miały uwiarygodnić jego treść. I na tym można by zakończyć, gdyby nie list od Pana Profesora:

Drogi i Szanowny Panie,

dziękuję za miły, przemyły list i pięknie wydaną antologię. Książeczki przekazałem do Biblioteki Instytutu Badań Literackich, niech ucieszą także oczy moich kolegów, niech wiedzą, że poezja powstaje nie tylko w Warszawie i Krakowie.

Bardzo dziękuję za zaproszenie - może kiedyś z niego skorzystam. Dawno temu jeździłem w okolice Słupska, a właściwie Miastka. Moja bardzo daleka krewna jest w tych okolicach nawet sołtysem! Ale wiadomość tę znalazłem w internecie, bo kontakt bezpośredni niestety urwał się po śmierci mojej babci i mamy, i tak tylko z daleka sekunduję poczynaniom kolejnych pokoleń.

Proszę przyjąć życzenia dalszych osiągnięć poetyckich - niech Muzy nie zapominają o Panu i Pańskich przyjaciółkach.

Pozdrawiam pięknie.

Jan Tomkowski, Warszawa



Jak zawsze z uwagą i przyjemnością czytam gorzkie strofy jedyne go chyba, profesjonalnego poety o imponującym dorobku. Wiersze Jerzego Fryckowskiego z cyklu „Synowie polscy” są doskonale skonstruowane, wyróżniają się świadomością znaczenia metafory w tworzeniu indywidualnego poetyckiego języka

Zagadki poetyckie

„Moich nielicznych czytelników dzieliłem na tych, co woleli mocno trzymać się ziemi, jej owoców, kwiatów, korzeni, jej aromatów, barw i smaków, i tych co spoglądali ku niebu, chociażby miała się tam rozlegać nie muzyka anielska, lecz zwykły chorał gregoriański, w dodatku wykonywany jedynie przez kwartet strudzonych zakonników” - pisze Jan Tomkowski w „Nie ma Pauliny” (Warszawa 2012). Przydług może cytata z quasi autobiograficznej książki znanego esyisty i historyka literatury po pierwsze doskonale współbrzmie z tytułem najnowszej antologii poezji „Z ziemi do niebios” wydanej przez Starostwo Powiatowe w Słupsku w 2011 roku. Po drugie wskazuje kierunek interpretacji, badania zawartości tomu prezentującego, bagatela, pięćdziesięciu sześciu auto-

rów związanych z formacją Wtorkowe Spotkania Literackie, reprezentujących pokolenie dziadków, ojców i wnuków oraz różne doświadczenia zawodowe i społeczne. Kto z nich mocno trzyma się ziemi? Kto spogląda ku niebu? Kto dba o czytelnika, choćby „nielicznego”?



Czytam równolegle Tomkowskiego „Ciemne skrzydła I kara”, „Nie ma Pauliny” oraz wiersze „wtorkowych” poetów. Zestaw lektur ktoś uznałby za dziwny, inny za dziwaczny, ale obaj by się my-

lili. Zapewniam, lektura równoległa jest niezwykle inspirująca i uzasadniona, chociażby czasem wydania wymienionych pozycji. Nie sposób przecież ignorować rynku wydawniczego i czytelnika, o czym zapominają szubujący ku niebu.

Wypomniata to słupskim poetom Anna Górecka („Pamięć Słupski” nr 11/12/2011) po lekturze tomu „Czy jeszcze nie wyszły”. Nie zgadzam się z jej generalizującą opinią, ale w sprawie czytelnika ma rację. Publikacja zwarta bez względu na charakter dystrybucji musi uwzględniać adresata.

Czytelnicza natura niedowiarka każe mi sprawdzać, wyjaśniać, pytać. Warto przecież wiedzieć, dla jakich doświadczeń czytać, podejmować trud poznawania struktury i znaczeń tekstu, jaka nagroda mnie czeka. A zagadek w najnowszej antologii jest kilka. Sprowadzam zatem tekst z niebios na ziemię, odwrotnie niż w tytule antologii. Najpierw na stronie 45. wiersz „Medytacja”

*habit ujawnia oczy i usta
otwarte w pół
podejrżane w modlitwie
nie całkiem swój
dotykam wstydlivie*

monus animam pinxit

Ładnie kształtowany wers, spójne słownictwo, ale niepokoi mnie ostatni, wyodrębniony wers „monus animam pinxit”. Pewnie chochlik nabroił, bo powinno być „manus animam pinxit”, jak tłumaczy Leszek Engelking (ręka namalowała duszę) w oryginale u Ezry Pounda (1885-1972) *De Aegypto*:

*Manus animam pinxit,
Mam pióro w dłoni
By stosownie napisać słowo...
Usta mam, by czystą podjąć śpiew!*

W opowiadaniu „Ręka i dusza Dantego” Gabriela Rossetiego (1828-1882) z Bractwa Prerafaelitów młody malarz widzi przed sobą swoją duszę w postaci kobiety. Obraz jest nieduży, przedstawia jedynie postać kobiety ubranej (...) w szatę szarą z zielonym. (...) „Dokładniej się mu przyjrząwszy, zauważyłem w rogu płótna następujące słowa: »Manus Animam pinxit«. I datę: 1239”.

Interpretacyjna rzetelność wymaga badania języka, opisanie struktury i semantyki, konieczne byłoby wyjaśnienie kontynuacji, kontekstów i innowacji przy zaangażowaniu ogromnej wiedzy religijnej i literackiej. Nie podejmuję się złamania lirycznego szyfru. Pozostanę na granicy dotyku, intuicyjnie dostrzegając potencjalne sensy liryku. Kolejne wiersze Przemysława Gaca nasycone są nawiązaniem i kontekstami literackimi, to liryczne drobniaki, jak piękne Inkluzje.

Poezja „dzieje się w słowie”, zatem uznaję prawo autora do tego, by zadziwienie światem i sobą zamknąć w szyfrującej metaforze, by syntezę przeżytych zdarzeń opisać jednym wieloznacznym słowem, czytelnikowi zostawiając ślad, gdzie „martwa zebra” (s. 50)

Słowo, zwłaszcza poetyckie wyraża się odkrywaniem znaczeń, brzmień, kontekstów. Jest zobowiązującą poetycką rzeczywistością. Wyraża się w tożsamości znaku i desygnatu wynikającego z osobistego doświadczenia. Odkrywa się w coraz to innym indywidualnym języku twórcy, ale musi w planie semantycznym uwzględniać czytelnika, inaczej pozostanie jak ów pusty dzwon.

(Takie rozumienie zanegował Różewicz w wierszu „Ocalony” wiążąc katastrofę aksjologiczną z katastrofą poetyckiego języka. Reinwencja, czyli twórcze odrodzenie języka polegać ma na ponownym związaniu świata słów ze światem rzeczy, na przywróceniu słowom znaczeniowej przejrzystości i zdolności orzekania o świecie).

Maciej Michalski w wierszu „Na zgon poezji” (s. 95) w regularnym dwunastozgłoskowcu pisany czterowersową strofą pyta: „Czy zgaśnie poezja jak mrocznieją gwiazdy / odejdzie wzgardzona i już jej nie będzie?” Nie wiem, to kolejna poetycka zagadka. Czy umrze poezja jak Cyprian samotna? Nie wiem, odpowiadam dalej. Na pewno przeżyła się formuła poezji romantycznej z tyrtejską koncepcją poety - wieszczka. Z innym światem się mierzy, innym językiem się wyraża. Wiem na pewno, musi być w poezji muzyka, muzyka słowa i muzyka wersu. „Muzyka wprowadza nas w trans, ale poezja odwołuje się do intelektu. Orfeusz jest poetą - bardziej poetą czy muzykiem? W czasach Orfeusza (mamy zresztą pełne prawo umieścić je poza historią) muzyka i poezja stanowiły jeszcze doskonałą jedność” - pisze Jan Tomkowski w „Ciemnych skrzydłach Iłkara”.

W klasycznych formach wierszy Michalskiego, w lekkiej zharmonizowanej współbrzmieniem klauzuli rytm brzmi i porywa. Odniesienia religijne zyskują jednostkowy osobisty charakter. I jest w nich muzyka, choćby nie anielska. Świat Michalskiego jest biało-czarny, bez wątpliwości, z wyraźnie wyalienowaną postacią poety, „gdy społeczeństwo znów jest tylko zgrają / tu-manioną hordą dziką i okrutną”.

Zarówno dla twórcy, jak i czytelnika pierwszym zadaniem jest język. System językowy dostarcza elementów wierszotwórczych, pochodzą z niego i są immanentną jego zawartością. Składniki języka powszechnego, ogólnego, ukształtowane wyobraźnią poety tworzą nowe sensy i znaczenia. Jednak nie pojedynczy wers, nie zapisany zdaniem najmądrzejszy nawet tekst nazywamy wierszem. Jego znakiem jest zorganizowana powtarzalność wersu jako wyznacznika rytmu, intonacji, kompozycji. Przewidywalność następujących po sobie wersów wyznacza porządek rytmiczny wiersza zależnie od reguł poszczególnych systemów wersyfikacyjnych. Ten wymóg spełnia wiersz „Rowiańscy rybacy” ze str. 156. Inaczej niż autor we wstępie do antologii, zapytałabym, pozostając w konwencji poetyckich zagadek, dlaczego rowiańscy? Nad Bałtykiem wiele małych portów, a w wierszu nie znajduję nic z wyjątkowego pejzażu portu w Rowach. Nie każdy wiersz jest poezją, po prostu.

„Żeby dobrze spotkać się z tekstem potrzebne są intuicja, rzetelna wiedza, chłodna dociekliwość i estetyczny smak, swoboda i nieustraszenie w rozumowaniu oraz pewna doza artyzmu” - pisze Kazimierz Nowosielski w „Czytać i pytać”. Staram się spełnić kryteria mając świadomość, że casting trwa, a antologia zaprasza czytelników do spotkania i odkrywania poetyckich zagadek. Czas rozpocząć dyskusję o poetyckim warsztacie, do czego zachęca Jerzy Frykowski we wstępie do „Z ziemi do niebios”.

Czytam na stronie 53. antologii wiersz „Na parol”. Słowniki opatrują tytułowe wyrażenie kwalifikatorem przestarzałym. Używane było w trzech znaczeniach, z których dwa mogą być przydatne w poszukiwaniu „odpowiedzi z labiryntu zagłębień”. Pierwsze znaczenie to słowo (honoru), drugie tajne hasło. Być może jest nim zdanie z drugiego wersu: „Przyszłaś



do mnie tuż przed peryhelium”. To pojecie astronomiczne oznaczające punkt orbity ciała niebieskiego najbliższy słońcu. Ziemia przechodzi przez peryhelium między drugim a czwartym styczniem. Teraz rozumiem zakodowaną astronomicznym pojęciem inicjalną wierszową frazę „to nie był zwyczajny dzień”. A autorowi wiersza polecam zadanie. Kometa Encykego ma najniższy okres obiegu ($T=3,3$ lat). Jej odległość w aphelium = $4,1 \text{ IAU} (4,1 \cdot 150 \cdot 106 \text{ km})$. Oblicz jej odległość w peryhelium.

Chcę tylko powiedzieć, że autor powinien zakładać, że on i czytelnik odwołują się do tego samego obszaru językowego nawet przy założeniu reguły zaskoczenia i nowości. Nie kwestionuję prawa sięgania po słownictwo specjalistyczne. Wiersz „Na parol” konsekwentnie realizowany jest słownictwem

astronomiczno-geologicznym, no może poza tytułem, który w połączeniu z pierwszym wersem zakłada użycie znaczenia „słowo” (honoru), ale wtedy wystarczyłoby po prostu parol. Powie autor, że zagięłam parol na niego. Parol, że nie! Wiersz jest zabawny przez spiętrzenia znaczeń i zestawienia językowe. Ale bez dobrego słownika ani rusz,

chyba że czytać będziemy pobieżnie, nie do końca rozumiejąc sens metaforycznej zagadki. Zakładam jednak, że nie tylko o zaskoczenie, skonsternowanie czytelnika szło autorowi.

Dlatego nie podzielam oburzenia autora wstępu frazą „kumulacja w smoleńskim lesie” (s. 172), ów dysonans lekcyjny ma swoją emocjonalną wagę, a wiersz pięknie spleta obraz codzienności z przeżyciem smoleńskiej tragedii, tak po prostu, bez patosu i opowiadania się w trwającym konflikcie. Zastanawiałabym się raczej nad celowym przenikaniem języka mediów do poezji i sensem takiego zabiegu.

Sporo w antologii innych zagadek, jak ta, kiedy powstał wiersz (s. 79), w którym wśród realiów czasu pojawia się

Baltona. I kto jeszcze pamięta co to było? Powiem szczerze, to nie jest książka na jeden wieczór. Czytanie poezji ma sens, jeśli potrafimy zatrzymać się nad tekstem raz i drugi, by za każdym razem odkryć coś z siebie. Przecież tak wielu zna na pamięć ukochane wiersze.

Odkrywam z radością wiersze młodych. Jak jednak pisać o twórczości Hanny Dikty po lekturze czterech wierszy? Odnajduję w nich motywy antyczne, katolickie, żydowskie zapisane współczesnym, często drapieżnym językiem. W pejzaż miasta, w erotyczno-mistyczną grę: „kiedy dotykasz mnie jak hostii” wtapia dawne mity i rytuały, po to tylko by je obnażyć, pokazać postmodernistyczną postawę wobec tradycji. A wiersze ładnie brzmią może dzięki narracyjnej formie monologu, a przede wszystkim doskonałego wycucia rytmu wiersza. Figurka przydrożna zdobyła moje serce bezapelacyjnie.

Jak zawsze z uwagą i przyjemnością czytam gorzkie strofy jedyne chyba, profesjonalnego poety o imponującym dorobku. Wiersze Jerzego Fryckowskiego z cyklu „Synowie polscy” są doskonale skonstruowane, wyróżniają się świadomością znaczenia metafory w tworzeniu indywidualnego poetyckiego języka. Biblijne mity i archetypy poeta konfrontuje z doświadczeniem współczesnej społecznej rzeczywistości. Sprawdza czy jesteśmy jak biblijni bohaterowie osadzeni wśród innych realiów i rekwizytów. Ciekawa, choć gorzka wymowa jego lirycznych konstatacji ma jeden niezmienny rys - męskie pragnienie: Boże stwórz mi kobietę, jak prosi bohater wiersza, współczesny Adam. Po co? Oto zagadka.

„Z ziemi do niebios” prowadzą mnie wiersze „Przy otwartym oknie” i „Mojego ojca z kogutem rozmowa” pana Smalewskiego. Piękne, proste, mądre codziennością, melancholijnym zachwytem urodą rzeczy zwykłych i bliskich. Nie sposób nie zwrócić uwagi na wiersze Henryki Jurałowicz, Emilii Zimnickiej i Jana Wanago wyrastające z tradycji religijnej, patriotycznej, z poszanowania podstawowych wartości, ale okraszone lekkością wersu i pogodnym humorem.

Nie sposób nie podziękować wszystkim „wtorkowym” poetom za odwagę poddania się próbie czytelniczego osądu. Nie ma nic miłszego niż pochwała czytelnika i nie ma nic lepszego niż zyczliwa uwaga krytyka.

Na koniec, by zamknąć kompozycyjnie całość, cytuję Tomkowskiego: „Leśmian zadał pytanie, jakiego przed nim chyba nie stawiano i które wydaje się dziś cokolwiek absurdalne: „czy w niebie trzeba sprzątać?” Odpowiedź jest jednoznaczna. Są na to literackie dowody, także w antologii „Z ziemi do niebios”. Trzeba ich poszukać, czytając.

Czesława Długoszek
Objazda

„Z ziemi do niebios”, *Antologia poezji. Słupsk 2011.*

film na oscara?

Obejrzałam „W ciemności” Agnieszki Holland w sopockim Multikinie. Wytrzymałam dwie i pół godziny, tłumacząc sobie, że pewnie skończy się chrupanie popcornu, gdy do akcji wejdą szczury

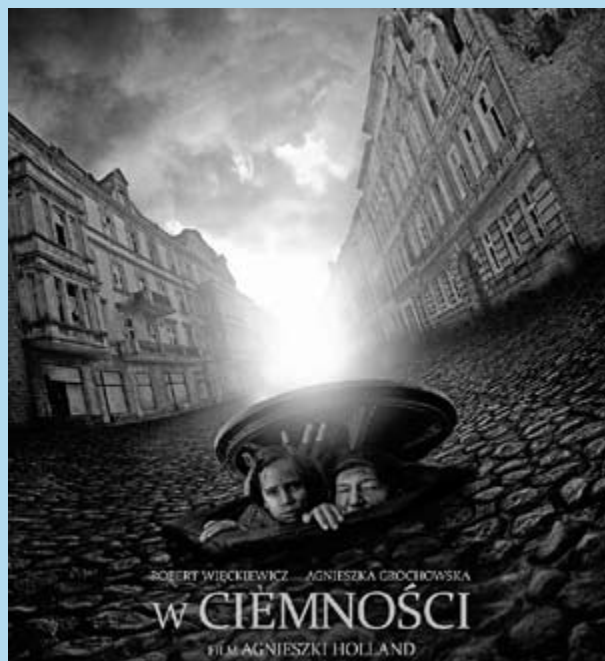
Później miałam dość szczurów, ale pomyślałam, że siedzę w ciepłym fotelu, nic mi na głowę nie kapie i nikt mnie nie wyda. Oni wytrzymali czternaście miesięcy, chociaż nie byli pewni, że to będzie tylko czternaście miesięcy. I nie wszyscy mogli lub mieli dość determinacji by przeżyć kanały. Epizod

wyboru, strachu, ucieczki obecny w filmie poszerza problem, nie rozwijając kolejnych wątków. Wiadomość o Stalingradzie pojawiająca się w rozmowie niesie nadzieję, ale nie pewność. Przetrwali, bo nie stracili nadziei. Kilkanaście osób, w tym dwoje dzieci Pawetek i Krysia Chiger, której wspomnienie zapisało przez Roberta Marshalla w „In The Sevens of Lvov” stało się podstawą scenariusza.”

Umieszczenie akcji filmu w getcie w momencie jego likwidacji oraz w mieście i kanałach Lwowa pozwala nie zamknąć tak zwanej kwestii żydowskiej w relacjach polsko-żydowskich. Ukraiński żandarm Max (Anton Lewit) wprowadza wątek postaw Ukraińców wobec Żydów i Polaków. Ponadto poza kresowym kolorytem języka, swoistą wieżą Babel, kwestie etniczne są tylko dalekim tłem zdarzeń. Fabuła jest w zasadzie jednowątkowa wbrew skomplikowanej historii miasta. Kilka zbiorowych scen z obecnością anonimowych Niemców jest znakiem czasu historycznego, ale nie ma wpływu

na bieg filmowej fabuły. Dramat rozgrywa się między kanalarzem Poldkiem Sochą, „jego Żydkami” i oficerem Maxem, przekonanym, że dawny kolega z celi prowadzi własną grę. Pożydowskie mienie dla Maxa jest wystarczającą pokusą, by wydać Niemcom Żydów i dawnego przyjaciela. Kilka doskonałych, pełnych napięcia, świetnie rozegranych scen głównego wątku kontrpunktuje statyczne obrazy w kanałach. Ostateczny pojedynek śmiertelnych rywali, dzięki sprytowi, wygrywa Socha, pozostawiając Maxa na zatracenie w labiryncie zalewnych wodą kanałów.

Każda scena w filmie Agnieszki Holland ma swoją wagę, fabularny i metaforyczny sens. Epizodyczność akcji jest atutem filmu, pozwala na wprowadzanie kolejnych znaczeń, bez komplikowania fabuły. Większość scen rozgrywa się w ciemności. Na ekranie pojawiają się tylko punkciki oczu, rzadziej latarek i lamp gasnących przy najmniejszym „obcym” dźwięku, zapowiadającym dla uciekinierów zagrożenie. Mistrzowskie zdjęcia Jolanty Dylewskiej uzupełnia muzyka Antoniego Łazarkiewicza w wersji stereo. Zdjęcia i muzykę synchronizuje rewelacyjny montaż Michała Czarneckiego. Wszystko jest ważne, dźwięk w ciemności, rozjaśniony światłem lampy fragment twarzy na tle ceglanej



faktury kanałów, wszystko jest znakiem, kodem bolesnej opowieści.

Ciemność, przyciszone głosy, oszczędne gesty budują napięcie między bohaterami i nastrój filmu. Na ich tle szczególne znaczenia ma scena narodzin dziecka, sfilmowana ujęciami niemal reportażowymi. Kamera pokazuje rozświetlone uda kobiety, krew, dziecko na rękę. Narodzinom towarzyszy krzyk rodzącej, płacz dziecka. I rozpacz matki dzieciobójczyni próbującej wyjaśnić grzechem cudzołóstwa tragiczne zdarzenie, nad którym nikt się nie zatrzymuje. Filmowa narracja odstania przed widzem kolejny „ludzki” rys postawy głównego bohatera. Gotów był przyjąć dziecko do rodziny, a mógł je tylko potajemnie pochować. Scena kąpieli kończy tę sekwencję i może być odczytana jako rytualne obmycie. Równie wymowna jest scena pierwszej komunii Stefci, córki Sochy. Kamera zatrzy-

muje się na wystetyzowanym wnętrzu kościoła, białych szatach dzieci, Sakramencie podawanym przez kapłana ze słowami Ciało Chrystusa, następnie przesuwają się niżej, jakby po poprzecznym przekroju schodzi w dół, w kanały, gdzie dokonuje się rzeczywisty akt umierania. Wydaje się, że dopełnienie tej sceny jest w zakończeniu filmu, kiedy ktoś z gapiów obserwujących wychodzenie z kanałów pyta: - Skąd się tutaj wzięłeś? - Zmartwychwstałem - odpowiada bohater.

Fabuła filmu pozbawiona została „dokumentacji historycznej”, nie ma postaci historycznych, zdarzeń o których mówią podręczniki. W treści odwołuje się do wiedzy powszechnej, doświadczenia historycznego zwykłych ludzi. Do ich sposobu

przeżywania i postaw w ekstremalnych sytuacjach. Główny bohater Poldek Socha (Robert Więckiewicz) najpierw dla zysku, później z empatii bierze odpowiedzialność za ludzi wykluczonych przez zbrodniczy system, przy niemej postawie świadków zdarzeń. Nie, nie, on nie wyjaśnia pompatycznie swojej postawy. Chyba sam nie rozumie motywów swego działania. Bierze za nich odpowiedzialność, bo ich poznał, karmił, bo dla nich stoczył walkę z Maxem, dla nich narażał żonę (świetna rola Kingi Preiss) i córkę. Bezimienny beznamietny tłum gapiów towarzyszy zarówno eksterminacji w getcie, jak i wychodzeniu z kanałów. Są jednak w filmie sceny będące pośrednią odpowiedzią na takie zachowania. Odpowiedzialność za wzajemne relacje jest po obu stronach. Hermetyczność religii, kultury, obrzędów jest przyczyną niezrozumienia ludzi mieszkających obok siebie przez wieki. I nie jest to problem zamknięty. Z wrogością wobec „obcych” spotykamy się współcześnie. Jakie byłyby wzajemne relacje w warunkach ekstremalnych. Czy widzielibyśmy po prostu ludzi czy raczej Żydów, Cyganów, Białorusinów, Wietnamczyków zagrażających jakimś, czyjś interesom?

Szczepko, podwładny Leopolda Sochy, porządny katolik, ze zdziwieniem słucha, że Jezus był Żydem. Jaka zatem jest jego wiara? Powierzchnowa, obrzędowa, niedzielna - odpowiemy. Taka była i jest powszechna religijność.

Obraz Agnieszki Holland opowiada o człowieku zanurzonym w codzienność i zmysłowość ludzkiej natury. Rozpoczyna się świetną sceną małżeńską miłości. Kinga Preiss w roli Wandy, żony Sochy, powinna otrzymać nominację do Oscara za rolę drugoplanową. Postać piękna i rewelacyjnie zagrana. Wnosi do filmu naturalny wdzięk, humor, życzliwość. W ostatniej scenie filmu przynosi chleb, ważny w tradycji polskiej i katolickiej znak gościnności, powitania w domu, znak wspólnoty.

Dlatego za zbędny uważam końcowy napis informujący, że śmierć Leopolda Sochy ratującego córkę spod kół pędzącej ciężarówki Armii Czerwonej niektórzy odczytywali jako karę Bożą za pomaganie Żydom. To zupełnie niepotrzebne. W 1945 lwowianie przyjęli los wiecznych tułaczy. Lwów opuściło ponad sto czterdzieści tysięcy Polaków. O tym napisy końcowe nie informują.

Mimo to gratuluję filmowi nominacji do Oscara.

**Czesława Długoszek
Objazda**

wyjatkowy wielbiciel teatru i kobiet

Świadomy znaczenia słów wyznających stan swoich uczuć ukrywał je nawet przed swoją przyszłą żoną, by nie zostać posądzonym o tani sentymentalizm i zbyteczne ujawnianie szczegółów swojego życia. Nie odbiegało ono co prawda od wyczynów znanych artystów rosyjskich. Zakończone krótkim pobytom na ziemskim padole zmarł w wieku czterdziestu czterech lat - szczególnie w układach damsko-męskich dorównywało najwytrwalszym. Przeżycia przypominają i prowokują do snucia niewesołych refleksji nad miłością destrukcyjną powodującą fatalne skutki. W zapiskach biograficznych znajdujemy Czechowa jako twórcę wyniszczonego artystycznie i intelektualnie, nieodpornego na nieustanne ataki kobiecej drażliwości, infantylnego okazywania nieokiełzanych uczuć, jakim ulegał niejeden zakochany (czyt. kochliwy) twórca. Nasuwa się myśl, że jednym z powodów, dla których nie udawało się im w życiu jest to, że nie dostrzegli w porę momentu, kiedy są jeszcze wolni od działania zgodnego z rozumem.

Czechow prowadził bardzo intensywne życie towarzyskie. Flirtował, rozkochiwał w sobie i otaczał się kobietami, nierazdo romansując z zastępami naiwnych i szukających przygód dziewcząt. Nigdy jednak nie angażował się, poprzestając na przelotnych romansach. Urodził się 29 stycznia 1860 roku w Taganrogu nad morzem Azowskim w rodzinie ubogiego kupca. Ojciec - okrutnik i despota, bracia - przestępcy i kryminaliści, zaborcza i zachłanna siostra tworzyli otoczenie młodego Antona. W wieku dwudziestu sześciu lat ukończył Uniwersytet Moskiewski - jako dyplomowany lekarz. Nie okazywał jednak zbytniego zainteresowania zawodem. Uwielbiał teatr i jego otoczenie. Z grupą przyjaciół uprawiał filozofię łatwą i nie skomplikowaną polegającą na udowadnianiu twierdzenia, że - jak napisał do przyjaciela Nikołaja Lajkina - „tylko zaspokojony seksualnie mężczyzna podejmuje racjonalne decyzje. Życie seksualne poznałem jako trzynastolatek, więc jestem w tej dziedzinie ekspertem”. Towarzystwo prostytutek przedkładał nad kontakty z aktorkami, baletnicami, artystkami cyrkowymi, od których nie mógł się opędzić. „Prostytutki - pisze w liście - są zawsze pewne, nie piszą listów, nie odgrywiają scen zazdrości, lecz posiadają instynkt seksualny poszerzony głęboką wiedzą i znajomością rzemiosła”. Kraje i miasta zaczynał zwiedzać od cmentarzy,

Trudno pośród artystów świata wskazać człowieka bardziej skrytego i hermetycznego niż Czechow. „Udostępnienie obcemu spojrzeniu własnych przeżyć było dla niego czymś równie krepującym jak ukazanie się domownikom w bieliźnie” - napisała Natalia Modzelewska w biografii Antoniego Czechowa pt. „Pisarz i miłość”



kościół i domów publicznych. Ta fascynacja erotyką nie trwała jednak długo. W jednym z listów do brata Nikołaja ujawnił zmianę zainteresowań, przenosząc je na skrajnie inną stronę (cyt.): „Ludzie dobrze wychowani powinni wymagać od kobiet nie tylko łóżka, powinna pociągać ich kobieca świeżość, dobre serce i smak”. Ta skrajność stwierdzeń zapewne zadziwia biorąc pod uwagę warunki rodzinne w jakich spędzał dzieciństwo, nie mniej zaowocowała nowymi znajomościami i towarzystwem kobiet, z których trzy warto wymienienia ze względu na wpływ, jaki wywarły na dalszy przebieg jego życia.

Lidia Awiłowa - początkująca żonata pisarka z trojgiem dzieci przesyłała Antonowi swoje opowiadania, wymagając krytycznej i bezstronnej oceny. Kiedy spotkali się, Lidia wręczyła Antonowi kwiaty, wyznając mu miłość słowami: „jeśli potrzebne ci moje życie - weź je”. Tą przedziwną - i trzeba przyznać niecodzienną propozycję - Czechow wykorzystał w swoim opowiadaniu „Mewa”. Odwrócił się od Lidii, mówiąc: „Kocham Panią. Nie ma innej kobiety, którą mógłbym tak kochać”. Romans ten znalazł się potem w opowiadaniu Czechowa pt. „O miłości”. W ich korespondencji nie pojawiły się nigdy wątki erotyczne, jednak Lidia we wspomnieniach „Czechow w moim życiu” ujawniła, że łączył ich romans, o którym nikt nigdy nie wiedział.

Podczas pobytu w Jałcie latem 1889 roku, gdzie przebywał ze względu na stan zdrowia (zaawansowana gruźlica) poznał kilkunastoletnią dziewczynę. Wprowadził ją na scenę jako początkującą aktorkę, korzystając ze znajomości środowiska teatralnego. Wyznawała mu dożygonną miłość, lecz praktykę łóżkową odbyła z kimś innym, Korespondowali ze sobą wiele lat, ograniczając się wyłącznie do platonicznych wyznań.

W posiadłościach Czechowa przebywała często przyjaciółka siostry Antona - Lidia Mizinowa, nauczycielka języka rosyjskiego. Przesyłała mu swoje zdjęcia, wyznając miłość. Zaczęli się spotykać. Swoje nieobecności w domu tłumaczyła nocnymi lekcjami języka francuskiego, wieczornymi nabożeństwami, zwiedzaniem klasztoru itp. Czechow zaloty Lidii traktował humorystycznie, nie dążąc do zaangażowania i narastania uczuć. Napisał do niej (cyt.): „Lilko na dworze srogie mrozy jak i w moim sercu... jestem już starym młodym człowiekiem. Kocham nie ciebie, lecz moją młodość w tobie utraconą”. Nie zniechęcona Lidia zaprasza Czechowa w podróż do Gruzji. W odpowiedzi Anton napisał słowa, które niweczą

ciąg dalszy na str. 12

wiersze najnowsze

Autorką zamieszczonego w poprzedniej „Wsi” wiersza pt. „Twój list” jest Izabela Iwańczuk ze Słupska a nie Katarzyna Nazaruk. Obie Panie za tę niezamierzoną pomyłkę przepraszamy. (z)

Izabela Iwańczuk, Słupsk

TWÓJ LIST

kocham ciebie od dawna od
lat moich narodzin w tobie

może nie napiszemy
wspólnej soboty ale

wrócę ekspresem serca
porannym intercycy tęsknoty

zgasną monitory wyobraźni

rozłożę ramiona jak
prześcieradło na polanie

przenieś cię lekko nad głębią
oceanu w iskrach moich spojrzeń

wepnę ci cekiny
promieni i zieleni

będę twoim makiem
będę twoim ptakiem

Aldona Peplińska, Motarzyno

JESZCZE RAZ

Chcesz bym była jak kiedyś
Słodkim wiosennym porankiem
Chcesz smakować niewinność
Bym była ślicznym kanarkiem

Lecz ja już nie śpiewam
Nie mam w sercu wiosny
Mój uśmiech choć szczery
Już nie taki radosny

Chociaż pragnę rozkwitnąć
Blaskiem pierwiosnków młodości
Bólem jesiennego aury
Trzyma klatka starości

Lecz dla Ciebie na chwilę
Wzlecę w błękitcie wspomnień
Ale i Ty barwnym motylem
Przyfrun z miłością do mnie.

Izabela Iwańczuk, Słupsk

ALBATROS

pocałowałem cię
pocałowałem niżej
niżej
niżej
pocałowałem jeszcze niżej
i najniżej

na skrzydłach albatrosa
przepadłem w niebiosach
świat twój ostatnim statkiem odplynął
płomienną zamknąłem cię na czas
i dotknąłem jak promieni lotniska

E-DYKTANDO

piszemy to co dyktuje miłość

na białej kanapie
jak dwie cętki
przeskakujemy skocznię rzeczywistości
miłość stawia nas na nogi
czasem robimy obłądki
zmysłowe błędy ortograficzne
ale profesor wybacz
bo nas kocha

Dominik Piotr Żybertowicz, Wamino

TREN

Ktoś, kto tego nie przeżył nigdy nie zrozumie
czym jest żaloba w pustym, czarnym domu.
100 m² martwej przestrzeni. Można biegać
schodami z dołu do góry i z góry na dół.

Z ciemności spoglądać w okna. Wiem,
że to dziwne, ale samotność
może być tobie najbliższą z ludzkich twarzy
- tą właśnie, którą tak bardzo,

tak mocno kochałeś. We wszystkich snach
pustynia (bo kiedy wieczorami
będziesz się modlić o śmierć, w snach
nie zobaczysz nic oprócz pustyni).

A gdy pewnego dnia w takim domu
rozlegnie się skrzyknięcie mebli schodów,
nie pozwól tym dziwnym odgłosom
rozprzestrzenić się na schody życia.

Albo inaczej: jeżeli twój płacz
nie pozwoli komuś odejść, ten ktoś
przyjdzie i poprzez wypadek
nie pozwoli zostać tobie.

Dlaczego mnie wtedy nie zabrałeś?
Dlaczego zostawiłeś mnie w tym zimnym,
czarnym domu? Chociaż jeżeli w jakiś sposób
widzisz to, co dziś piszę - rozumiem.

KRYJÓWKI

1.

Wejściowa płyta strychu odchyła się
niczym właz podwodnej łodzi,
która opłynęła czas. Tam, pomiędzy deskami
była moja baza, stamtąd spoglądają
oczy:

oto chłopiec
wychodzi z drzewa i jednym oddechem
porusza tańcowisko planet,
zostawiłem je tutaj same, na każdej z nich
inny świat, inne marzenia.
Aby otworzyć okno
muszę wybić szybę - niech lecą, płyną,
niech łączą się z snami
miejscowych dzieciaków, niech
prowadzą sztandar.

2.

Albo poddasze. Kwadracik
z chmur zawieszony nad polami,
łąkami. Zasypiam pośród szkolnych
książek i zeszytów. Wagary
to dzień wyjęty spod prawa -
powiedziało drzewo,
na którym utknął latawiec, dlatego
odrywa się od ziemi i znika w gwiazdnej
przestrzeni.

3.

A tam, na osiedlu - już wozi się lipiec.
Lecą bańki nad domami, w bańkach
śmiechy, krzyki.
Grupa chłopców biegła drogą - tu,
w kałuży znikli.
Może to przez deszcz, może przez ten potop.

4.

Od kilku tygodni wydłuża się tunel
zwierciadeł. Przez pewien czas
będę je zanosił do innych miast,
do innych mieszkań. W ten sposób przejście
pozostanie nietknięte. W ten sposób
zachowam miejsca,
do których uciekać będę w te wszystkie
zimne dni,
burzowe noce; bo kiedy świat
znów rzuci przekleństwo (a rzuci
na pewno) - przechowają mnie.

Katarzyna Nazaruk, Słupsk

GUCIO ZACZAROWANY W POEZJI MIŁOSZA

W mgławicy gwiazd jest myśl
i pointa że tu był. wśród nas
Gucio zaczarowany w poezji Miłosza.
w każdego z nas. szperacz poskramiacz
obłaskawiacz przyrody. tęskniący
za zmysłowym poznawaniem
skórą potem alkoholem. krótkotrwale
i dobitnie w zachwytach. na zawsze
uwikłany w związki
z kolorami ogrodami wspomnieniami.
niegrzeczny chłopiec
zamieniony w owada z jego tradycją
bycia. na zawsze
muchą która powinna znać swoje
miejsce. w łańcuchu
zależności gdzie nie prowadzi się dialogów.
a owad lubi
niezdrową słodycz

PRAGNIENIA

wstrzymuję się
w strzemionach wyobraźni
coś mogłoby się wydarzyć
fatalizm przerzuca kartki pamiętnika
straszy przeszłością
a ja chcę wstrzymać oddech
w twoich ramionach
zagościć
zrzucić skórę
zapachnieć wiosną
wypięknieć
uczuciem

SUBTELNE ODCHODZENIE POETKI

Pamięci Wisławy Szymborskiej

Zachłystniesz się jeszcze eliksirem życia
Zanim obejmą cię anioły
Delikatną bielą skrzydeł
Muskając zaledwie namiastką Boga
Zachowując równowagę ducha
Na granicy światów
Konfrontujesz jeszcze jego nonsensy
Przebijając zręcznie balony złudzeń
Igiełką ironii
Zabaw towarzystwo loteryjką
W aurze przyjacielskich uszczypliwości

I nie mów
że już zbierasz się do wyjścia
w hermetyczną próżnię historii
Tak niedramatycznie
jak ty tylko potrafisz

Teresa Ławcka, Słupsk

PRZYPIŹYW

Zamknięta w kokonie ścian
Poznaję pragnienie wolności
Powoli kruszę mury
Niepewnie wychodzę na zewnątrz
Nadal trzymam nić pytań
Rozprostowuję skrzydła wiary
Wynuszam w nieznaną drogę
Jeszcze nie wiem kim jestem
Odgaduję namietności świata
Gonię falujące marzenia
Zwabione ciepłem rąk
Zmieniam w trwałość mądrości
Sznur koralików nadziei
Odlicza dni do miłości

BÓL WSPOMNIENI

Świat wyciągnął dłonie
Po sprawiedliwy sen
Mgła uwięziła wspomnienia
Długi welon matki
Własna suknia ślubna
Weselny orszak przyjaciółek
Odświeżająca pamięć zdjęcia
błyszcząca uśmiechem fleszy
Z zapachem truskawek
W kokonie ulotnych bąbelków
Kolorami bańki mydlanej
Zmienia słodycz w żal

Agnieszka Klekociuk, Możdżanowo

SKRYWAJĄC CISZĘ

Chwilami skrywam ciszę
Rzeźbiąc zatracenie dłoni
Skryta nienawiść obarcza
Los o brak umiaru samego siebie...

W podmuchu niesie zapach męskich dłoni...

A uśmiech dziecka
Żyje w pragnieniu
Życiowych myśli jej wyobrażenia.

KAMIENI

Krzew wieczności
Obumiera spojrzaniem
Wiotkie ciało
obmywa z grzechu
ciszę
i powstaje
czas zatracony...

płonie życie
na znak istnienia...

nieskończoność
powstaje w kamiennych sercach

przemijania.

Anna Boguszewska, Słupsk

NA PRÓŻNO WOŁANIE

dzisiaj w czerni odziana
ze łzami w oczach
szepcze łkając cicho
życie to chwila

anioł śmierci zgasił płomień oczu
zastygły Jego splecione dłonie
muzyka grała ciszę
migotały płomienie świec

okrutny los zabrał co niegdyś dał
zranione serce trudno wyleczyć
miłość odeszła bez pożegnania
na próżno wołanie wróć

Maciej Michalski, Słupsk

POGRZEB NOBLISTKI - 9 LUTEGO 2012

Nie wołano księdza - miał wystarczyć Nobel
sensy i bezsensy wytropią uczeni humanizm
nie z krzyża lecz od gilotyny
Robespierre i Stalin prawnie uwielbieni

Nie wołano księdza - oświeceni sami
udzielają ślubów i grzebią umarłych
serce z lewej strony - rodzinny grobowiec
pogańskie misterium - geniusz spopieleny

Nie wołano księdza - świeckość uniebowzięta
zgodnie z nauczaniem mistrza ceremonii
przerazliwa pustka zawisła pytaniem
lecz nikt się nie żegnał - nikt nie mówił amen

Pan Bóg stanął z dala - nie był zaproszony
tytu oficjeli przeto mówić nie śmiał
miast Ave Maryja musiał słuchać Elli
gdy się nie doczekał - zasmucony odszedł

OBIETNICA

czasem się wydaje że mamy przyjaciół
zabiegamy o nich wielbimy i czcimy
sycą naszą próżność pod różną postacią
a potem odchodzą a my się budzimy

pragniemy jedności - spójnej i dostatniej
rzucamy na szale cały nasz majątek
ufamy miłości pierwszej nie ostatniej
zawodzą nas zmysły - ostrożność rozsądek

doświadczamy grzechu - zdrady okrucieństwa
co z początku słodką zwykle jawi postać
pragniemy ratunku - świętości małżeństwa
w szczęściu czy frasunku gotowi mu sprostać

materia - stworzenia wymyka się woli
człowiek z wiekiem krzepnie jak opoka
głucha ztraca duchowość w cielesnej niewoli
a ta jest gliniana nietrwała i krucha

szczęśliwy kto pojął mizერიę dokonań
i oddał w dzierzawę swego ciała żądze
za liche przeczucie - za mamą nadzieję
za rękomię trwania - nie zbledzę?...
nie zbledzę!

Emilia Maraszkiewicz, Dartłowo

PRZEDWIOŚNIE

runęły śnieżne pejzaże
zaświeciły słońca podbiału
błękit już pędzi rzeką

przez strumień przechodzi
orszak iwy nawiedzonej
chór barw buduje drogę
do wspaniałych obrazów

ścieżka stanęła jak wryta
bo deszcz płacze na dworze
a pod leszczyną rozkwitły
śnieżnobiałe zawilce

W SZKARŁACIE MROKU

góra
bezdroże
niebieska dolina

Boże
spójrz tam
znów widzę Jezusa
dźwiga krzyż

gdzie wyspa tajemna
jutrznia słów
przedwieczornych

nie ma przy Nim
apostoła
ani ucznia

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

WIERSZ PISANY PRZY ADAMIE MICKIEWICZU!

Ewie Kolaszińskiej

Motto: Zerwę wszystkie sukienki -
nagość nieba i twego ciała
rozkocham do nieprzytomności!

Przyszędł dzisiaj do mnie Adam,
usiedliśmy w ogrodzie
a rozmowa była o tobie.

Pytał się poeta jaka jesteś,
odpowiedziałem: dobra kobieta,
wrażliwa i uczuciowa.

Pod jarzębiną czerwoną
czerwień zaświeciła nam w oczy.

Mickiewicz zadeklamował swój wiersz
„Na Alpach w Splügen” -
zapamiętałem strofę:

„I postać twoją widzieć lękam się...”

- Czyżbym i ja miał się ciebie bać Ewo?

Nie! Będę jeszcze bardziej rycerski,
a niech Mickiewicz nam zazdrości...

Jak w pocałunkach usta się iskrzą!

30.1.2012 - Ustka

ZAPROPONOWAŁEM MICKIEWICZOWI...

Ewie Kolaszińskiej

Motto: To była poufna rozmowa.
Poeta Adam zgodził się zostać
przyszłym Ojcem Chrzestnym...

Niech myślą co chcą -
i tak nie słucham nikogo.

Biorę twoją rękę Ewo
wiem gdzie mamy się udać.

Mam chatę w księżycowym lesie,
tam spokój rozbiera człowieka
do intymnych zabiegów w poezji.

Rozczytam w tobie miłość
nieułomną i nieskaleczoną,
przyfruną ptaki leśne...

Niech przenoszą nowiny
o narodzonym dziecku...
a Adam Mickiewicz i tak
ojcem chrzestnym zostanie.

W księżycowym lesie
do białego tanga mnie zaprosisz.

Będziemy tańczyć do świtu
by poranną rosę przywitać.

30.1.2012 - Ustka

ROZMOWY Z MICKIEWICZEM

Motto: „...może pogawędka z Tobą
i Mickiewiczem?” - Ewa Kolaszińska.

Usiądź Adamie, usiądź i ty Ewo -
teraz poprowadzę zebranie o poezji.

W moim życiu była ona
najważniejsza...

Żadna z kobiet nie była ważna,
dlatego dotrwałem przez lasy idąc.

I wybrzeże pokochałem i góry,
i ścieżkę skradającą się jak złodziej.

Taniec żurawi i stare wiatraki,
wiewiórki skoczne i sosny niczym panny.

Kałuże po deszczu i rodzinne osty,
bieliki królewskie i sowy mrukliwe.

Czego nie dotknąłem to była poezja -
ludzka życzliwość na lirycznej drodze.

31.1.2012 - Ustka

Jadwiga Michalak, Naćmierz

PAMIĘCI POETKI

jestem jeszcze tutaj i tam jednocześnie
przenoszę się w kadrze pamięci
w czasoprzestrzeni
poza granice niewiadomego

ukłon składam Wisławie na obłoku
uśmiecha się jak zwykle do świata
ciepłem światła
przekazanych treści
pojednania z nieskończonym
co nastąpić musiało
i co się wypełniło
niekoniecznie całymi zdaniem

poza progiem terażniejszości
patrząca w przeszłość
na ścieżki myślenia
zostawiła przyszłość
na ringu z gołotą
i kotem w pustym mieszkaniu
stąpającym na czterech łapach
w rytm pieśni Elli Fitzgerald

Naćmierz, 10 lutego 2012 r.

SZTORMOWE DNI

w bukiecie marzeń talizman szczęścia
zabiera w rejs myśl niespełnioną
wzburzone fale biją o statek
piętrzą się w pionie
tak jak pragnienia rozkołysane

w bezkresie morza namiętne fale
smagają biczem śliskie falochrony
w sztormowej złości neptun wciąż groźny
tarmosi statkiem przeraża straszny
piętnem topielców szaleństwem wód

ich białe grzbiety jak błyskawice
mkną by rozpryskać się gdzieś na klifie
roztłuc się zgubić by znów na nowo
skacząc przez molo z hukiem z wigorem
rozbić się w drobne sine kropelki

a okręt widmo pomimo sztormu
walczy z żywiołem na falach wciąż
brzeg niedaleko neptun pozwoli
dobić do portu w szkwale i w mgłę

Naćmierz, 8 lutego 2012 r.

Anna Karwowska, Dobieszewko

SIEDZĘ...

Siedzę na ruinach pegeerowskiego muru
którego nie warto już odbudowywać
palę papierosa, patrzę na świat
myśląc - że ten wiek to
nie bochen chleba ani bukiet kwiatów.
Wiatr zalewa usta
gardło wyschło jak stara studnia
słowa, głos - to wióry martwego drzewa
opuszczona głowa.
Aby grunt czuć pod nogami
muszę mocno trzymać się korzeni.
Siedzę, łykam nadzieję
ale po co?

NA KRESCE HORYZONTU

Na polnej ścieżce
Co prowadzi do obszernych pól - staję
jak pomnik w słońcu
a wiatr wiąże spojrzenia.
W oddali na kresce horyzontu
widzę moją wioskę
ciężar życia wiszący
płachtę przeszłości, która
od spodu mrokiem gaśnie.
Nad kreską
gdzie niebo łączy się z ziemią
widzę ludzi oskubanych z piór - nadzy
a nad głowami wiatr miota
białymi rękawiczkami.
Wpatrzona w kreskę horyzontu
czekam na przyłot polskich ptaków
na człowieka, który jest człowiekiem
na pociąg z wagonem prawdy i nadziei

Emilia Zimnicka, Izbica

PRZEBUDZENIE

Srebrny sierp księżyca
Zmierza do snu
Gdy budzi się moja wieś
Jeszcze zanurzona w gęstej kołdrze ciemności
Rozświetloną złotem drgającego światła
żarówek
Wstaną młodzi ludzie z ciepłego snu
I jadą do pracy i szkół
Autobusem PKS
Są senni i pełni marzeń, a tu rzeczywistość
szara
Trzeba żyć, jeść chleb powszedni...
Kupić ubranie
Opłacić czynsz, energię i taka codzienność
Wraca srebrnym półksiężycem z rana
I zimową ciemnością powrotu
Samo życie w powiatowej
Rzeczywistości
Małych wiosek

DLA KAŻDEGO

Dla każdego wystarczy chleba
Wody, powietrza i słońca
Dlaczego więc na tej ziemi
Fali krzywd
Nie ma końca
Płyną przez świat
Łez rzeki
Niewinnej krwi strumienie
Gdzie szuka drzewo nadziei
Które spełni pokoju marzenia

Wanda Majewicz-Kulon, Bytów

Z NADZIEJĄ

Spowiadam się ptakom
Każdej nutce zawieszonyj
Między ciszą
A poszumem wiatru
Wiekowym dębom
I śladom stóp
Wydeptanych ścieżek

Spowiadam się
Krzewom dzikich róż
I kamieniom wygłaskanym
Szumem leśnych potoków

Z nadzieją że zdążę
Wyszeptać wszystkie wersy
Zanim moje słońce
Zajdzie za horyzont
Gdzie nic

Tylko długi cień ciszy...

Tadeusz Pawlak, Słupsk

ŻONIE

Gdy światłem noża co rano
otwierasz kartki bochenka
zda się, że lemieszem pługa
odwracasz skiby eposu
w Hezjodowych „Pracach i dniach”.

Dlaczego mnie sycisz myślami
o krwawych pradziejach chleba,
którego każdy kawałek
to najsmutniejszy poemat?

To prawda, że pachnie ziemia
w italskiej wiosce pod Mantuą,
gdzie od dwudziestu stuleci,

w czułym wspomnieniu rosną „Georgiki”,
dobrodziejka późnych wnuków, Maro.

Lecz jeśli ja dzisiaj pragnę
uprawiać kartkę w żyzny zagon słowa,
ty wiesz, że mi niełatwo
rozbić żelbeton już pękniętą głową.

Irena Peszkin, Koszalin

ODLOT

Nie ukrywam -
byłam przeciwna biegowi
wydarzeń
o których nie śniłam dawniej.

W najśmielszej wyobraźni,
podobno wybujałej -
jak mawiała rodzina,
nie mieściły się realia
dzisiejsze.
Ale to się dzieje tu i teraz
na moich oczach
na sercu otwartym -
życie sobie używa do woli,
bez znieczulenia, pośpiesznie.

I trzeba pogodzić się z faktem.
Nie ma innego wyjścia.
Łzy gorzkiej uronić nie mogę,
choć serce pęka.
Moja rozpacz - bezsilna.

Rozstaję się z Rajskimi Ptakami.
Błogosławię szlaki na nieznanne.
Wierzę, że nie zapomną
gdzie ich Matka Ziemia.

Nie będę ich żegnać.
Powiem - do widzenia.

Walentyna Małek, Potęgowo

w zgliszczu wypalonych serc
w duszach co hula wiatr
w ciałach zniszczonych przez wiek
maleńka iskra w oku się tli
nie przygotowani by odejść
nie pogodzeni zli
trzymają się życia kurczowo
przychodzi chwila
cichutko odchodzą
zostawiając otwarte drzwi

otuleni w poranną mgłę
ubrani w kropelki rosy
rozświetleni promykiem słońca
na białej pościeli rozkoszy
jeszcze ciała osiką drżące
serca dzwony bijące
ciała bluszczem splatane
uniesione w obłoki

nadzieje Lidii (cyt): „Piszę do pani bez obawy, że ktoś zechce ożenić mnie z takim potworem jak pani”(!)

Ogarnięty nagłą wolą podróżowania Czechow postanowił zwiedzać świat. W listach do swego wydawcy i powiernika L. Suworina opisuje swoje wrażenia i obserwacje. Zachwyca się umiejętnościami erotycznymi Azjatek/Japonek, Hindusek wykazujących zadziwiające umiejętności i kunszt w trakcie miłosnych igraszek. Po powrocie jesienią 1893 roku poznał Lidie Jaworską, aktorkę specjalizującą się w rolach amantek. Obiecał napisać specjalnie dla niej sztukę. Lidia chętnie przejęłaby rolę kochanki Czechowa. Chciała śpiewać mu cygańskie romanse, pić z nim szampana i „ofiarować mu swój aromat kobiecości”. Skończyło się jednak tylko na odegraniu roli teatralnej stażystki bez uczestnictwa Czechowa, w którego życiu zaczął się wreszcie okres stabilizacji uczuć. Zaczyna głosić pochwałę erotycznej wstrzemięźliwości, ale nie na długo. W obawie by nie usnęły w nim odruchy prawdziwej męskiej pobudliwości, zaczyna romans z młodą nauczycielką francuskiego. Chce rozruszać i rozbudzić ponownie cechy które (cyt.): „znalazły się w zbyt długiej śpiączce”.

Wreszcie we wrześniu 1898 roku w życiu Czechowa nastąpił przełom. Na próbie jednej ze swoich sztuk w Teatrze Artystycznym w Moskwie poznał 30-letnią aktorkę Olę Knipper - swoją późniejszą żonę. Dotychczasowa filozofia życia, której przestrzegał i był wierny, uległa metamorfozie. Pisząc do Olgi ponad czterysta listów stworzył prawdziwie epistolarny rozdział swojej twórczości. W listach tych używał groteskowych, jarmarcznych, infantylnie kliwowych określeń, wykpiwanych kiedyś i wyszydanych. Olga walczyła dzielnie o pozyskanie Antona, dostosowując swój styl do jego listów, by doprowadzić w końcu do sytuacji, w której zgodził się na małżeństwo. W maju 1901 roku odbył się ich ślub. To „epokowe” wydarzenie wywołało olbrzymie zamieszanie w szeregach zawiedzionych wielbicielek Czechowa. Niezliczone listy zrozpaczonych kobiet pozostały bez odpowiedzi. Żadna z nich nie miała się nigdy dowiedzieć, że podczas całego trwania małżeństwa Czechowa, być może nie zostało ono nigdy skonsumowane. Było nieudane i mdłe. Po ślubie napisał do matki i siostry, że tak naprawdę to w jego

życiu liczą się tylko one dwie jako właścicielki jego serca. I tak, niestety się stało.

Czechow mieszkał samotnie w Jalcie, ze względu na stan zdrowia (miał już kilka krwotoków). Nieobecna i niezainteresowana żona występowała w teatrze a małżeństwo było tylko pasmem udręk, potęgowanym jeszcze natręctwem Antona, widocznym coraz częściej w listach do niej (cyt.): „nie obawiaj się, nie zdradzę cię, bądź spokojna, całuję cię miliard razy i proszę urodź mi chłopczyka”(!) Opisywał swoje banalne niedomagania, nie szczędząc ordynarnych scen zazdrości. Nieszczęśliwe żony miawały jednak przebłytki skruchy i odruchy miłości, czemu dawały wyraz najczęściej w listach. W maju 1903 roku Olga napisała do niego (cyt.): „Jakaż ze mnie żona... traktuję cię jak świnia. Wstydzę się spojrzeć w oczy twojej matce. Powinnam zostać twoją żoną albo zostać sama i nie dręczyć nikogo”. Czechow podniesiony na duchu postanowił spędzić zimę 1903 roku z żoną w Moskwie. Próba pojednania nie powiodła się. Olga występowała w Teatrze Artystycznym nieustannie. Do domu wracała natomiast przesiąknięta zapachami cygar i alkoholu. To jej postać odtworzył Czechow w „Wiśniowym sadzie”. Rolę tę zagrała Olga genialnie. Grała przeciw samą siebie... W czerwcu 1904 roku, ratując zdrowie Czechowa, małżonkowie wyjechali do sanatorium w niemieckim Badenweiler. Wycieńczony gruźlicą Czechow przeżył ciężki atak serca. Otrzymał tlen i morfinę. Ostatnie jego słowa to (cyt.): „dawno nie piłem szampana”. Zmarł 3 lipca 1904 roku. Pochowany został uroczyście 9 lipca w Moskwie. Lekarze w swoich opiniach stwierdzili, iż śmierć nastąpiła zbyt szybko, a przyczyniła się do niej wyjątkowa niedbałość żony Olgi, dzielącej życie pomiędzy mężem i licznymi kochankami.

Antoni Czechow przeszedł do historii jako wyjątkowa postać w literaturze rosyjskiej. Wielbiciel teatru, prozaik, dramaturg („Trzy siostry”, „Wujaszek Wania”, „Wiśniowy Sad”), humorysta i nowelista („Śmierć urzędnika”). Napisał ponad siedemdziesiąt opowiadań i nowel, łącząc w nich liryzm z ironią. Zasłynął również jako twórca słynnych powiedzonek i aforyzmów.

Andrzej Szczepanik. Bytów

Na podstawie: „Pożar serca” T. Klimowicz, Wyd. Uniwersytet Wrocławski.

księżycowy pył



Książka Oriany Fallaci pt. „List do nie narodzonego dziecka” jest niezwykłą i nietypową lekturą zatrzymująca się nad istotą i sensem życia

To także wędrówka do wnętrza samej siebie oraz swoisty strumień samoświadomości. Jakiej sfery życia dotyka jednak dominanta książki? Księżycowy pył to wizja przeczucia, przez które dojrzeć możemy zarysy szczęścia. Ale czy to szczęście złapiemy czy też rozsypie się ono przez palce jak piasek, taką decyzję każdy podejmuje sam.

Po pierwsze i najważniejsze, autorka tekstu próbuje rozwiązać zagadkę pochodzenia życia, samego faktu narodzenia się i wszelkich innych czynników związanych z naszą egzystencją. Pytanie, które zadaje, narodzić się czy też poczekać

z przyjściem na ten świat aż miną lęk, ból, strach i głód, wydaje się najtrudniejszym z pytań. Czy jest jednak możliwe to, aby wybierać? Nie mamy podanych na tacy do wyboru żadnych opcji. To nie my podejmujemy decyzję, chcemy jednak posiadać takie wrażenie, że to my jesteśmy panami życia i śmierci. Fallaci demaskuje swoją, a jednocześnie ludzką naturę, twierdząc, że jesteśmy zbyt zaaferowani światem. Tymczasem skupienie właśnie na sobie i podjęcie wewnętrznego dialogu jest najlepszym wyjściem z opresyjnego świata.

Po drugie, prosta w swojej konstrukcji monologiczna wypowiedź autorki tekstu dotyka bardzo drażliwego, dla niektórych kobiet, zagadnienia przymusu bądź przypadku posiadania potomstwa. I w dzisiejszych czasach książka ta powinna stać się lekturą obowiązkową zarówno dla tych, którzy pragną pozbyć się z siebie życia, właściwie zniszczyć przez to nową cząstkę siebie, jak i dla tych, którzy



żyją w nadziei jej uzyskania. Czytelnik, który uświadamiany jest, czym jest „księżycowy pył”, musi umieć stworzyć samostnie jego definicję. Pył może być darem, może być także przekleństwem, ale tylko w naszych oczach. Pył nie niesie w sobie żadnej winy, a jego kod genetyczny będzie zawsze wyjątkowy i niepowtarzalny tak jak ten pochodzący z księżycy. Nikt nie wie i nawet nie może być pewien, czym stanie się piach ze srebrnego globu. I dlatego nawet Oriana nie skreśliła stworzonej przez siebie definicji „księżycowego pyłu”. I choć nie jest pewna kto go stworzył, opowiada mu bajki, objaśnia ich znaczenia i udowadnia tym samym, czy jej życie było coś warte. W pewnych fragmentach książka staje się zapisem autoanalizy zbudowanej na kanwie świeżego i niewykryształizowanego jeszcze życia.

Nie tylko sfera duchowa jest mocną stroną książki. Są też inne lęki. Autorce wydaje się, że ból fizyczny jest do zniesienia. Psychiczne cierpienie bywa nieakceptowane i staje się z upływem czasu cięższym piętnem. Co jest lepsze, męka duchowa czy fizyczna? Ciężko to stwierdzić. Ból ciała jest zawsze skonkretyzowany, rozpacz psyche nie posiada swojego odniesienia. Bo w co wtedy wierzyć, czemu ufać, dokąd zmierzć? Lęk przed nieznanym ustępuje, gdy się głębiej wejrzemy w siebie. Trudne przemyślenia Oriany spotykają się z jej własną krytyką. Psychiczne dolegliwości, które miewa, lęki i depresje są dla jej dziecka niebezpieczne. Dziecko mogą przecież zabić same myśli. O swoją własną świadomość i jej wpływ na dziecko obawia się bohaterka najbardziej. I znów stajemy wo-

bec krytycznego problemu bez rozwiązania, czy można tak po prostu przestać myśleć, pozbawić siebie samą własnego wycinka świata mentalnego? Kwestie nierozstrzygnięte stanowią jeden z wymiarów i poziomów tej książki. Specyficzna forma ich zadawania, wplatania trudnych kwestii w prostą formę wypowiedzi, to wartościowa strona lektury. Spotykamy się z nią na wielu stronnicach. Gdy bohaterka dostrzega w gazecie embrion, dokonuje przeniesienia swoich wyobrażeń na rzeczywistość. Oczywiście, wtedy zaczyna się bać, bo lęk zostaje w końcu zobrazowany i unaoczniony. I choć już sama wątpi, czy nie jest on kwiatem bądź „przezroczystą orchideą”, to przekonuje siebie, że mimo wszystko jest to, niezaprzeczalnie, cud. Dziecko to dla niej bowiem nierozpoznana możliwość, kolejna realizacja bytu.

Należy jednak zastanowić się, czy udaje się Fallaci całkowicie uspokoić samą siebie, ukoić wewnętrzny ból po stracie „księżycowego pyłu”, czy wręcz przeciwnie, nie udaje się jej dokonać wewnętrznej kapitulacji i osiągnąć stanu przytomności? Za tym podążają jednak kolejne czytelnicze rozterki. Nawet jeśli lektura sprawia wrażenie zakończonej a problem zdaje się być zamknięty, gdzieś w samym centrum przestrzeni psyche płonie iskierka nadziei, że może ziarenka tego pyłu przyfruną po raz kolejny i stworzą nową możliwość życia.

Anna Łozowska-Patynowska
Słupsk

Oriany Fallaci, *List do nie narodzonego dziecka*, Wydawnictwo Dolnośląskie.

Ida Fink swoim subtelnym językiem rozświetla ciemne mroki duszy ludzkiej, udowadniając, że to tylko kwestia czasu, że istota ludzka poddana jest złu, ale ten czas minie i nastanie nowy, lepszy a wraz z nim lepszy kształt przybierze także dusza ludzka

„ocaleni do następnego razu”



Wojna to brutalna, nieodwracalna siła, która zaprzęga człowieka do czynienia zła. O niej nie można zapomnieć. Ciężko się z nią także oswoić. W kanonie autorów, którzy przeżyli drugą wojnę światową, są jednak i tacy, którzy te straszne wydarzenia próbują obfaskawić, sprawić, aby ich ponowne przeżywanie stało się mniej bolesne. Jedną z takich autorek jest, mało znana, Ida Fink. Jej książka „Skrawek czasu” to zbiór specyficznych opowiadań, których delikatność, przenika czytelnika do głębi. Czytelnik staje oko

oko z pytaniem, czy ten okrutny czas można przedstawić inaczej niż tylko jako serię brutalnych mordów? Już w pierwszych opowiadaniach autorka udowadnia, że świat getta jest również obszarem uczuć (opowiadanie „Koniec”), że podczas nieustannej ucieczki może się rodzić miłość, że istnieją pewne błogostawione siły, które, poprzez swoje pośrednie interwencje, próbują pomóc człowiekowi („Czarna bestia”, „Pies”). „Skrawek czasu” to także świadectwo życia wielu przeciętnych ludzi, którzy w oczekiwaniu na śmierć własną oglądali śmierci

innych. Zaspiali oni codziennie z pytaniem na ustach, czy jutro śmierć przyjdzie po mnie i budzili się, mając podobne wątpliwości, czy dzisiaj przekonam się jak umrę?

Podczas gdy grono autorów tego okresu sytuuje się na tym samym biegunie, Ida Fink, zdecydowanie, mogłaby zostać umieszczona na biegunie przeciwnym. Nie oznacza to, że artystka zachwyca się wojną, która była w stanie zmyć z człowieka jego grzechy. Wręcz przeciwnie, wojna to dla niej źródło przekroczenia kolejnych zasad moralnych, ale nie wszyscy przecież zasady te łamią. Niektórzy podtrzymują jeszcze większą wiarę w sens świata właśnie przez to, że ratują z opresji innych, często poświęcając nawet własne życie. Dlatego zbiór tych opowiadań jest jednocześnie dokumentem konsekracji i bezgranicznego oddania. Jest także świadectwem procesu odwrotnego postępowania, zatraty samego siebie, kumulacji strachu i opanowania nim ciała i duszy ludzkiej („Wariat”). Tylko jakich słów użyć, aby nikogo nie skrzywdzić, aby zaświadczyć prawdzie, lecz jej nie przejaskrawić? Co uczynić, żeby opowiedzieć o takich ludziach? Ida Fink swoim subtelnym językiem rozświetla ciemne mroki duszy ludzkiej, udowadniając, że to tylko kwestia czasu, że istota ludzka poddana jest złu, ale ten czas minie i nastanie nowy, lepszy a wraz z nim lepszy kształt przybierze także dusza ludzka. Wszystkie sytuacje zwątpienia w dobro są dla niej próbą człowieczeństwa, posiadania godności ludzkiej, która albo umrze, albo przetrwa gdzieś głęboko w człowieku. Ludzi, według Idy, nie można kategoryzować, dzielić ich na

bohaterów i zdrajców, bo nigdy nie wiadomo, co czuje w środku ten odważny, a co skrywa w sobie ten, który potrafił wydać drugiego człowieka. Nie sądzmy, aby nie być sądzeni, dlatego nie oceniamy innych przez pryzmat innych i samych siebie.

Opowiadania „Skrawek czasu” są pisane z pewnej czasowej perspektywy. Nie powstawały jako zapis dokumentalny w gorączce i wzburzeniu. Świat łapanek, prześladowań Żydów wdziany jest przez wąską szparę w pamięci ldy. Ta szczelina, przez którą przenika to, co ocalało, co więcej, to metoda, jaką wykorzystuje aktorka do snucia opowieści o tamtych wydarzeniach. To również seria zatrzymanych kadrów, nie całego czasu, lecz wyimków dni. Wyselekcjonowanie i pielęgnowanie starych obrazów sprawia, że nie są one zatarte ani pokryte grubą warstwą „stylistycznego kurzu”. Wybiorniczność to jednak nie tylko wymuszony i sprowokowany składnik „Skrawku czasu”. Jest to bowiem struktura posiadająca charakter automatyzmu percepcyjnego, nieskrępowana forma mówienia o czasie przeszłym, nieopanowana i nieograniczona odmiana pamięci, którą posiada każdy z nas. Oto przed naszymi oczyma jawią się przedstawienia żywe i trzeźwe. Czytelnik nie dostrzeże żadnego podstępu, wie, że nie jest oszukiwany. Otrzymujemy zatem prawdę przetworzoną przez umysł autorki. Selektyw-

ność wspomnień ukazuje ułamki wizji wojennych, zarejestrowanych w sposób trudny do naśladowania.

Jak wygląda śmierć? U ldy Fink nie można odgadnąć, kiedy nadejdzie, ale można ją przeczuć. Człowiek bowiem jako istota duchowa posiada, według niej, instynkt czy nawet intuicję szerszego interpretowania otaczających go zjawisk i zachowań. Człowiek wie, że czeka go śmierć, potrafi zwęszyć jej ślady, usłyszeć kroki. Niestety, śmierć przedwczesna zabija w człowieku instynkt życia („Wiosenny poranek”). Bywają zatem sytuacje celowo sprowokowanej śmierci, śmierci, która nie powinna nastąpić ani mieć miejsca. Dobrym przykładem jest tu „Wiosenny poranek”, w który esesman zabija dziecko, które celowo zostało opuszczone przez ojca, mającego nadzieję, że przez to właśnie ono przeżyje. Ta śmierć to przykład odejścia niekanonicznego, zgon bez przecucia. Ida zastanawia się, czy taka śmierć miała jakkolwiek sens, kontekst, do którego odwołać się można w każdej chwili. Takiej perspektywy brak, a mała dziewczynka, która umiera jak zbyt szybko zerwany kwiat, stanowi tylko fragment obrazu, zajmuje jedynie sekundę w tekście. To dla ldy stanowczo za mało, ale też za dużo, bo takie śmierci nie powinny się w ogóle wydarzyć.

Anna Łozowska-Patynowska, Słupsk
Ida Fink, Skrawek czasu, Aneks, Londyn 1987.

co tkwi w ligockiej?

W szparach ludzkiego serca ukrywamy niekiedy ślady po sękach, doświadczeniach przeszłości. Minione dekady życia w prozie Romy Ligockiej nie są kształtowane przez czas przeszły, ale czas teraźniejszy czasu przeszłego. Wszystko wyłania się u niej z wiecznego teraz, z trwania obecnego, choć poprzedniego

Zatem ile sposobów bytowania posiada bohaterka utworów Ligockiej, takich jak: „Dziewczynka w czerwonym płaszczu”, „Czułość i obojętność”, „Wszystko z miłości”, „Znajoma z Lutra”, „Tylko ja sama” oraz „Kobieta w podróży”, jedno, dwa czy mnogość? Aby odpowiedź na to pytanie niezbędne będzie zrekonstruowanie psychiki głównej odtwórczyni roli Ligockiej w wymienionych tekstach literackich. Już sam autobiograficzny charakter książek tej autorki wskazuje nam kolejne ścieżki sondowania strzępków pamięci Ligockiej. Podróżą w głąb siebie nie jest tylko, jak moglibyśmy przypuszczać, „Dziewczynka w czerwonym płaszczu”, autofikcyjna opowieść Ligockiej. Znajomość tego tekstu ustawia nas w odpowiedniej perspektywie niezbędnej do czytania jej pozostałych prac.

Ligocka nikogo nie rehabilituje, nie zapomina, ponieważ uważa, że choć czas dawnych przeżyć minął, to nie należy wypierać się samego siebie, swojej przeszłości i tego, co ją współtworzyło czy rozrywało. W książce „Znajoma z lustra” staje sama wobec siebie, zadając sobie pytania i udzielając na nie odpowiedzi. Egocentryczność wcale nie musi być zła. Wiwisekcja wewnętrzna pozwala dostrzec więcej, zagłębić się bardziej, odnaleźć nić przewodnią w wędrówce od punktu „ja” do punktu „ja” i wykreślić prostą łączącą dwie fazy siebie. Trudno jednak nie zagubić się we własnej jaźni, która jest niejednoznaczna.

Wyraziście jednak tłumaczy Ligocka niektóre pojęcia. Tak jakby na nowo definiowała znany nam świat. Słowo Żyd może zabić człowieka. Bardziej niż morderstwo fizyczne demonstracja siły psychicznej obniża wartość drugiego człowieka po to właśnie, by go w końcu unicestwić. We wszystkich swoich książkach, szczególnie w „Znajomej z lustra” oraz w

„Tylko ja sama” Ligocka powraca do tego loci horridus. W przywoływanych historiach ludzi wkomponowanych w słowny strumień świadomości autorka dotyka najwrażliwszych części żydowskiego fatum. Przytaczanie kolejnych przypadków utwierdza Ligocką jeszcze bardziej w przekonaniu, że zrządzenie losu było zarówno jednostkowe i nieprzewidywane, bo przecież każdy zginął inaczej, jak i nieoczywiste, ponieważ żadne zasady logiki nie były w stanie udowodnić racji antyżydowskich i uargumentować skutków tak wielu pojedynczych śmierci. Wędrówki Ligockiej nie są więc tylko badaniem stanu własnej duszy, ale analizą kondycji tych, którzy zostali bądź odeszli. To badanie zakopanych dawno ciał, w których kościach ujrzeć można odbicie samej siebie.

Przykład Ligockiej to ilustracja osoby wyrwanej z kontekstu, do której przypięta została łątka wiecznego gościa, skazanej na powtarzanie podobnych sytuacji i zamkniętej w kole błędzenia pośród tych samych rzeczy i miejsc. Ligocka posiada na swojej psychice wiele niepokojących szwów. Jedne są mniejsze, inne większe, wszystkie te rany mogą się jednak ponownie otworzyć i na nowo rozjątrzyć. Sytuacji takich w „Kobiecie w podróży” jest wiele. Spotkania z dawnymi żołnierzami Wehrmachtu, osobami, które nienawidzą Żydów, z ludźmi w maskach chcącymi wysłuchać wojennej historii o

Roma Ligocka



masakrowanych ciałach, mordowanych dzieciach i o małych nadziejach w postaci fiołki z cyankiem.

Zupełnie inną wizję świata przedstawia Ligocka w książce „Wszystko z miłości”. Bohaterka książki znajduje się w kręgu rzeczy, pragnie otaczać się rzeczami, bo to one są źródłem potwierdzającym jej egzystencję. I kryją w sobie historię, pamięć, są drogą do rozumienia siebie dawnej w konfrontacji z sobą obecną. Ale rzeczy te również na nas patrzą, obserwują nasze poczynania, śledzą nasze losy. Takiej fenomenologii współbywania nas i rzeczy wierna jest Ligocka. Rzeczy, w przeciwieństwie do istot



ludzkich, trwają, są statyczne i zapobiegliwe. Jeżeli już coś je spotka to najpewniej nie z ich winy. Z człowiekiem jest inaczej. Jeżeli jego los zostaje wystawiony na próbę, to zastanawia się, czym zawinił. Czy powinniśmy być jak rzeczy, wytrwale pozosta-

wać w bólu i cierpieniu? Rzeczy, tak jak ludzie przecież patrzą i obserwują. Zatem, czy historia holocaustu nie była formą urzeczowienia? Opowieści o obozach i gettach przetrwały, ocalały także artefakty po ludziach, szczątki ludzkich własności, które patrzyły na swojego właściciela. I tylko tyle.

Lęk przed utratą rzeczy ważnych w życiu Ligockiej doprowadził do osobliwego powrotu do sytuacji, zdarzeń i świata dziecięcej sielanki sprzed katastrofy. Jak poradziła sobie autorka tekstów z odbudowaniem rzeczywistości na gruzach? Z fragmentów, które ocalały należy teraz stworzyć nowy kolaż, mieszaninę rzeczy, wyobrażeń i świadomości. „Czułość i obojętność” jest właśnie taką strukturą wybawienia, która nie podaje jednoznacznych odpowiedzi.

Nowa projekcja tożsamości człowieka ocalonego zakłada zupełnie inne potraktowanie interakcji międzyludzkich.

Dziś znacznie trudniej jest łączyć ludzi, łatwiej ich dzielić, na kobiety i mężczyzn, bogatych i biednych, wykształconych i niewykształconych. Ta naturalna segregacja odbywa się teraz, po czasach wojny, gdzie była ona na porządku dziennym. Dzięki doświadczeniu holocaustu Ligocka potrafi lepiej niż my, dzisiejsi bywalcy świata, odczytać szyfry i pułapki współczesności.

Przez wiele lat autorka nosi w sobie skrawki inności. Nie jest powiedziane, czy to wojna odcisnęła na niej to piętno. Nie możemy być także pewni, że jest to rezultat długotrwałego poniżania przez ludzi. Problem inności, obcości Ligockiej wbudowanej przeciwieństwie do współczesnego społeczeństwa istnieje nadal. Bohaterka wydaje się wielokrotnie, w każdej ze swoich książek, nie przekraczać ram ustalonych przez samą siebie. Kompleks zamkniętości i skrytości wobec innych wydaje się być kodem genetycznym autorki, jej naturalnym genomem. Czy jest nim w istocie, a może to presja zewnętrzna w większej mierze powoduje, że teksty Ligockiej zyskują taki wymiar? Relacja ja - świat wydaje się tu niezupełna, niedopełniona i niezrealizowana. Nie oznacza to, że tekstem Ligockiej czegoś brakuje bądź że pozbawione są one głębi. Wręcz przeciwnie, przez wielokrotne wędrówki za bohaterką tekstów potrafimy odczytywać tożsamość Ligockiej w sposób wielowymiarowy.

Kolejną zasadzką, którą zauważa Ligocka jest lalkopodobność. Jest to stan utajenia, zamknięcia i skrycia. Każdy z nas może się stać taką lalką. Wielowiekowy motyw bycia marionetką w czyichś rękach rozwija Ligocka w wielu miejscach swoich książek. Bycie kukiełką to nie zarzut bierności wobec życia, to raczej zarzut Ligockiej do świata, że zawsze, w realnych okolicznościach, jak było to w czasie wojny, ktoś może zdobyć władzę nad drugim człowiekiem. Jak się przed tym uchronić? Czy należy pozostać bezgranicznie bezwładnym? Czy warto podjąć ryzyko ocalenia istnienia? Ligocka, całkiem słusznie, nie potrafi udzielić nam odpowiedzi na pytanie, czy sama zaryzykowałaby swoją egzystencję, by chronić rodzinę żydowską. Bo jak potem wytłumaczyłaby sobie fakt, że ktoś za jej dobrą wolę pozbawiłby jej życia albo skrajnie zezwierzęcił, poddał torturom i, wrzucając ją do pieca, pozbyłby się jej niczym bezużytecznej lalki? Czy można wszystko wyjaśnić, pyta Ligocka we wszystkich swoich utworach, opowiedzieć wszystkie historie wojenne, te bardziej i te mniej zaskakujące. Czy wolno twierdzić, że jeden człowiek jest bardziej równy od drugiego? Jako czytelnicy przyjrzyjmy się dokładniej tekstom Ligockiej a wtedy świat przedstawiony mówić do nas będzie samodzielnie. A przez pryzmat autobiografii uda nam się dostrzec wielu zagubionych i zniszczonych ludzi, ludzi, którzy wcale tacy być nie musieli.

Anna Łozowska-Patynowska
Słupsk

kilka przypadków ryby



J tak pokrępieni, ukontentowani łżymy los, za to, że któregoś pięknego dnia postanowiliśmy złożyć CV, przeklinać będziemy własną dłoń, która podpisała cyrograf. Łżymy polityków za brak pracy, łżymy żółądek, język i powonienie za uzurpowanie prawa do życia

Wredne czasy kiedy człowiek nie może analizować, a musi zdobywać zamiast kontemplować, zastanawiać się, czy ujarzmić. „Coś” warte „czegoś” jest niczym, i „niczym” staje się błahym niebytem. Błache jest życie, jeśli żyjesz jak owca, tylko po to aby jeść i oddawać runo, zapomniawszy o tym, że umiesz beczeć, a bek twój może być wysoki i niski zarazem, przechodzący w ujadanie głodnego wilka z pobłykującymi kła-

mi. Czy zatem nim jesteś człowieku, który ubierasz się codziennie w ten sam biały uniform. Powtarzane rytualne czynności rzeczywistości są numeryczne o abstrakcyjnych numerach, trybikiem maszyny ekspansywnego biznesu bez szansy na „nie”. Przecież robotnikowi, robotowi łatwiej, związkowcowi przytakiwacze roztoczą płaszcz ochronny bzdurno-tępych przepisów doskonalących materię uzależnienia od koniunktury panującej na rynku pracy. W tej wąskiej wolności jesteś iksiński tylko, albo aż troglodytańskim powielaczem decyzji wyżej ustawionych.

Hierarchia

Obraz pracy wpisany w niewielki zakład wytwarzający konserwy rybne. Brzask budzi kolejny dzień, który wstaje leniwie. Pierwsi pasażerowie zdezelowanego kupożłomu świadomie pamiętającego czasy gomulszczyny zapelniają wnętrze w podmiejskim Bukowie. Skrzypiący odgłosem zużytych części relikwii minionego ustroju, jak dzwonekmi janczarów oznajmi, by wsiadali. Jakby na przekór czasowi i miejscu wślizgują się marudni i kurwujący, wtulają zaspane twarze w miąższ śmierdzącego stęchlizną siedzenia. Od następnych dzieli ich kilkukilometrowa tarkojedźnia poprzez kaszel bronchitu silnika, pomiędzy wyciem ziun, ziun. Następni powtórzą scenariusz wiejsko-kombatanckich dojazdów do pracy. Wraz z wjazdem w jasność miastobudunkową odfrunie nieodwracalnie czar chwilowej drzemki, oczy zdają się widzieć, wraca wrażenie wczorajszej scenografii. (...)

Garbus wszedł pierwszy, ociągając się, poruszał nogami jak starzec, był przegięty do przodu, był osowiały, marudny i opryskliwy. Za nim wszedł jeden z niewielu, całkowicie nie pasujący do tego miejsca. Ściągaczka - jak mówił sam o sobie - trafił tu przez przypadek, gdy zatrudnił się pewnego sierpniowego dnia w firmie, ma się rozumieć z dobrze płatną pracą. To stwierdzenie „dobrze płatną” rozwiąło się trzydziestego jak para z parowników, która znika w otworach wentylacyjnych klimatyzacji. Dryfuje teraz taflą lodu, a raczej brodzi w rzeczulce wściekłości na samego siebie. Niewyszukany przydomek Ściągaczka zafundował sobie sam. Wędrowali sposobem od stołu do stołu śladem zapomnianych przyzwyczajęń na spotkanie z rybą, a raczej z tym co po niej pozostało. Wchodzili na halę w odstępach półgodziny, aby ściągaczkami uprzątnąć z posadzki pozostałości. Garbus nie myślał, szedł jak tur w knieje, Ściągaczka analizował, przyglądał się twarzom pakowaczek. Zmęczone kobiece twarze, te ze zmarszczkami i te zupełnie młode, czasem niewiarygodnie młodziutki, piękne i brzydkie, ale zawsze te same, tak samo po swoim odczuwające monotonię pracy, zmęczenie, miłość, złość, nienawiść. (...)

Wytrzymać jeszcze dzień, niekiedy powtarzające docinki słowne, wytrzymać nie tylko dla siebie, ale dla samego wytrzymania, postawienia siebie w roli mimowolnej ofiary, tam gdzie

przystawiony kat nie trzyma już topora w ręku, ale straszy językiem plugawym i szyderczym. Gdy chcesz ruszyć smród, sam odczujesz jego skutki. Milczeć i ignorować, złoty środek czy tchórzostwo? Dylemat cholerny, powtórzyć za Hamletem: - Być, albo co? No właśnie to „co” takie niewielkie, mikroskopijne, niebyt pospolite, ale istotne, wywodzące się wprost od powątpiewania. Jest też zapytaniem, co dalej, co będzie, co słycać, co zrobić albo nie robić w ogóle nic, nie ruszać się i przyjąć strategię obojętności. Ale czy człowiek żyje po to, żeby nie wypowiadać „co”, tylko „tak”, na wszystko „tak” do znużenia, nie myśląc przy tym. Krystaliczna myśl skonfrontowana z rzeczywistością szarzeje i rozleci się przed trzecią godziną, niepowetowana strata na samorealizację. Kryształki pojedynczych neuronów opanują następne pół godziny, a potem „nie”, cały czas „nie”, nie, bo nie zgadzam się, nie, nie, nie! (...)

Cysorze wszystkich myśloprzestrzeni łączcie się w jeden światopogląd!

Ten rys charakterologiczny wyraźnie obnaża pewien katalog postaw. I tak, jeśli przyjąć, że każdy zatrudniony w zakładzie musi przejść przez służbę, która służy rzeczywistości nie jest, a jest wykafelkowanym pomieszczeniem, murem z kilkoma umywalkami. Każdy, czy to mu się podoba przechodzi przez służbę. Paleta wyobrażeń o tym miejscu to odór ryby, który jest wszędzie. Wiadomo przecież zakład rybą stoi, ten na „o” niektórzy nazywają smrodem i kaszaną, lecz jako taki nie ma prawa istnieć w miejscu sanitarnego reżimu, ale de facto smrodem pozostanie chociażby wchodzący udawali, że nie istnieje i nadawali mu inną formę, upiększali, perfumowali i odsmardzali. Nie można go ukryć, zakamuflować, aby przedzierzgnął się w aromatyczny zapach. Trzy metalowe smoki zięjące parą wypełniają halę cieleśmim nierdzewiejącego żelastwa, które biegli w mowie i piśmie nazywają parownikami. Wydzielają olbrzymie obłoki wrzątku, plują nim, warczą i szumią. Arteria kilku poziomów stojaków terkocze przytrzymanymi taśmami, na których łańcuchy puszek z makrelą, śledziem, szprotką prześlizgują się po plastikowym podłożu. Aglomeracja żelaznej armii przesuwa się w kierunku maszyn zamykarek, stamtąd na kąpiel w luksusowych wannach, potem do cylindrycznych autoklawów na prawdziwe SPA i wreszcie na pieszczoty do uroczych czyszczarek. Zakładowa dwójka - hałas i ciepło jeszcze bardziej potęgują przygnębienie, które będzie witało przybyszów każdego dnia, wchłaniało i z konieczności wykształca w nich wyobrażenie i polską pewność, że Kowalski zatrudniony gdzie indziej ma na pewno gorzej. I tak pokrępieni, ukontentowani łżymy los, za to, że któregoś pięknego dnia postanowiliśmy złożyć CV, przeklinać będziemy własną dłoń, która podpisała cyrograf. Łżymy polityków za brak pracy, łżymy żołądek, język i powonienie za uzurpowanie prawa do życia. No bo gdyby było inaczej, to my tu w ogóle i tak dalej, absolutnie. (...)

Czesław Kowalczyk, Słupsk

kron aszlony

Małe miasteczko Komadai w południowych Węgrzech tej nocy tonęło w gęstej mgle. Wczesnym rankiem ulice były jeszcze puste, gdy po jednej z nich przejeżdżała jednoosiowa bryczka, dudniąc niemilosiernie po nierównej nawierzchni kamienistego podłoża z wyraźnie zaspanym Jmri Ketonajem, lekarzem tutejszego szpitala

Czyżby słowo szpital nie jest tu, aby nadużyciem słownym. Miejsce to posiadało tylko jedną izbę lekarską i małą, jak na standardy miasteczka, salkę operacyjną, wszak nie było to aż tak istotne, ponieważ prawie wszystkie zabiegi były wykonywane wprost u pacjenta w domu. Natomiast poważniejsze operacje i tak przeprowadzano w szpitalu w Szelegesz, dużego miasta leżącego nieopodal Komadai. Lekarz zajmował pięterko szpitala, były tam dwa niewielkie pokoje i skromna łazienka bez wanny z kolorową emaliowaną balią. Ketonaj był kawalerem, więc niekoniecznie przeszkadzać miały mu spartańskie warunki, jakie panowały na górze. Nie przyjmował również gości, nawet kobiet, ba gdyby tylko chciał nie odmówiłoby z pewnością przystojnemu doktorowi towarzystwa, ale Jmri był typem samotnika, duchowego ascety rozmiłowanego w dziełach Szekspira, Balzaka, Czechowa, a już na pewno zadurzonego w prozie Tomasza Manna. Pochłonięty czytaniem, w pewnym sensie był książkowym narkomanem i gdyby nie przymusowe i nagłe wizyty domowe, nie wystawiłby z pewnością nosa z sanktuarium literatury. Nieraz przyszło mu toczyć poważne wywody na temat literackich postaci epoki, znany był przy tym z zapalczywości z jaką bronił swoich racji. Poza panem Ketonajem w szpitalu pracowała Jvon Seregresku, wykwalifikowana pielęgniarka i akuszerka pochodzenia rumuńskiego. Była uroczą, pulchną brunetką, z przepięknym rozbajającym uśmiechem i oczami jak skrzące gwiazdy. Często towarzyszyła doktorowi w służbowych podróżach. Tym razem jednak doktor jechał sam, nerwowo poganiając klacz Kruvari, od czasu do czasu nie żałując jej bata. Celem nocnej wizyty lekarza był dom Arona Aszlony na ulicy Vida Utca 5. Pół godziny wcześniej został zawiadomiony o złym stanie zdrowia Rut Aszlony, natychmiast więc poczynił przygotowania: przede wszystkim wyparzył narzędzia chirurgiczne, chociaż był wzywany do zwykłego porodu, to jednak na wszelki wypadek postanowił przygotować się na każdą ewentualność. (...)

- No, właśnie - lekarz spoważniał, ujął rękę gospodarza i poprowadził w głąb korytarza bliżej okna, na na tyle bezpieczną odległość, aby wiadomość, którą miał do przekazania nie trafiła do niewłaściwych uszu.

- Rut jest ciężko chora, ciąży ją wyczerpała i na domiar ten atak epilepsji, to wszystko jest efektem ogólnego wycieńczenia organizmu. Stan jej choroby będzie się pogarszał.

- Ile czasu - rzucił gospodarz - patrząc w oczy lekarzowi, bo przecież domyślał się, co stoi za częstymi nawrotami epilepsji.

- Nie wiem, może trzy lata, może rok, może nawet kilka miesięcy. Tu przy obecnym stanie medycyny operacja nie jest możliwa, wie pan gdyby to było na przykład w Ameryce - to, kto wie, kto wie? Wyciszył się i po dłuższej chwili dodał: - Pańska żona ma nowotwór mózgu. Proszę zadbać o to, aby niczego jej nie brakowało, no i o dzieci?

- Tak, właśnie, sam nie dam rady z ich wychowaniem, moim synom potrzebna jest matka.

- Tak, wiem, ale teraz niech pan wraca do żony, tylko proszę na Boga nic jej nie mówić, proszę nie dać poznać po sobie, że pan coś wie. Aronie, proszę pana.

Wrócił do żony, w sypialni zapalono światło, teraz ten dużych rozmiarów pokój wydał się mu jeszcze większy. Rut spała, obok w kołysce leżał z otwartymi małymi węglkami nowy członek rodziny Aszlony. Nie płakał, tylko przyglądał się staremu człowiekowi z zaciekawieniem, chwycił delikatnie maleńką dłoń. Odwrócił się w stronę łóżka. - Ruto, moje kochanie, co się z tobą stało, jak straszna choroba może wgrzyźć się w piękne ciało, jak odwracalnie może zmienić fizjonomię, jak ogromnie może zniekształcić raz zapamiętany obraz pięknej kobiety. Moja Rut, ty mój idealny świecie, dla ciebie rzuciłem wszystko, wyparłem się nawet ortodoksyjności, dla ciebie zerwałem więzy z dalszą rodziną, bo uważali cię za rewolucjonistkę. - Nikomu nie pozwolę mówić źle o mojej żonie, krzychałem na przyjęciu weselnym Izaaka Rabena - pamiętasz. - Mój ty idealny świecie, niespełniona marzycielko.

Ocknęła się.

- Przyglądasz mi się, źle wyglądam, prawda - zapytała.

- Ależ skąd.

- Oj, Aronie, Aronie nie umiesz kłamać, nigdy nie umiałeś, za to cię kocham.

- Jak synek? Ładny i taki duży, będzie postawnym mężczyzną jak jego ojciec i dziadek. Dotknęła twarzy męża i przesunęła dłoń po nieogolonym policzku.

- Tak, masz rację, jak mu damy na imię, może Moryc, Szymon, a może Ojzer?

- Co powiedział lekarz? - zapytała, puściwszy mimochodem proponowane imiona.

- Masz odpoczywać i wracać do zdrowia, później pomyślimy o jakimś wyjeździe, może do Włoch. Opowiadał mi Moris Rosenbaum, że w pobliżu Neapolu jest bardzo dobre uzdrowisko, mają tam nawet wannę z hydromasażem. Ponoć mają też bioprądy, które czynią cuda, zobaczysz siebie też postawią na nogi, kochana Ruto. Zamkniemy sklep, zrobimy sobie roczny urlop, może wreszcie pojedziemy do Palestyny.

- Aron, mów prawdę!

Wbił wzrok w kolorową pościel i nerwowo szukał w pamięci słów, które ubrałby w wiarygodne kłamstwo; potrzebne słowa, dzwonił dzwoneczku - dzyń, dzyń, dzyń - proszę słowa przylatujcie i układajcie się w logiczną całość. Prawda jakąż ona jest, czy prawda jest najprawdziwszą, bo wszystko na tym świecie jest względne wobec względnego, wszystko jest nijakie wobec tej chwili, gdy wpatrują się we mnie ukochane oczy kobiety.

Prawda jest wybiórczą i zależy od tego, kto ją głosi, czy zatem moja prawda jest gorsza od prawdy Jmri Ketonaja? Czy moja prawda usiłuje kłamać, mataczyć i nie mówi „tej” prawdy? Dlaczego to ludzie, moja kochana Ruto budzą się codziennie rano i wypatrują prawdy, jaką chcieliby usłyszeć, wsłuchują się w każdy szelest. W końcu ważne jest czemu lub komu prawda będzie służyć. Czy przyniesie ona więcej korzyści, czy strat? Czyjej zatem prawdy bronisz, durniu zapyziały, żydokrwisty człowieku, wiesz co robisz, gdy zamysłasz ją oszukać, perfidnie patrząc jej w oczy? Gdybyś te oczy chociaż odwrócił, wydarł z czaszki, wypalił, wypierając się prawdy Ketonaja. Lecz ty nie musisz brnąć jak tamci straceńcy, którzy w imię Boga ginęli bez słowa skargi, bez jednego potrzebnego słowa sprzeciwu, czy taką prawdę przedkładaś nad jej uczucia? Opamiętaj się, wybierz swoją prawdę, miłość, która łączy was od przeszło dwudziestu trzech lat. Pamiętasz ten dzień, na pewno pamiętasz, nie sposób go nie pamiętać, gdy stanęliście pod chupą i tego dnia to właśnie wam krzyczano - mazel tov, mazel tov.

- Mówił, że będzie dobrze, tylko musisz wypocząć - odpowiedział i po raz pierwszy w życiu czuł, że coś bezpowrotnie stracił, to coś niematerialnego, chwilę, której będzie żałował po najdalsze zakamarki pamiętania.

- Tak bardzo mnie kochasz, prawda - patrząc na męża, wyraźnie zawiedziona odpowiedzią opadła na poduszkę i ponownie zapadła w sen. Natychmiast po rozmowie postanowił zawiadomić rodziców Ruty, zabiegał o wyjazd żony na operację do Ameryki; datę planowanego zabiegu wyznaczono na wrzesień.

Rut zmarła niespełna dwa miesiące po narodzinach chłopca, który jeszcze nie został ochrzczony i przyjął imię Kron. Było to pod koniec upalnego sierpnia 1925 roku.

A tymczasem Kron pozostał na Węgrzech pod opieką Eleonory Stwertz. Jego starsze rodzeństwo, stryj Samuel Bramstheim postanowił zabrać ze sobą do Niemiec. Kron niczego potem już o nich nie wiedział. Eleonora już wtedy była podstarzałą panną, lecz ślady minionej urody triumfowały podparte dobrymi manierami. Po śmierci rodziców postanowiła nigdy nie wychodzić za mąż, chociaż starało się o jej rękę lub raczej majątek wielu panów. Ona jednak z uporem odpowiadała: - Nie. Osierocony Kron, kołysany niezwykłą atmosferą, która panowała w domu El, chłonał od dziecka zasady dobrego wychowania; zadbała o to, aby uczęszczał do najlepszej ze szkół w Szelegesz. W tym celu zakupiła samochód, wynajęła kierowcę, który codziennie rano zawoził chłopca do szkoły i o czwartej po południu odbierał po zajęciach. El ogromnie zależało na tym, aby poprzez zdobywanie wiedzy i nowinek ze świata, Kron pamiętał, kim jest,

kim była jego matka, kim był ojciec, który w rezultacie zaraz po pogrzebie został umieszczony w zakładzie psychiatrycznym pod opieką światowej sławy psychiatry Todora Sobory w Budapeszcie. Kron w towarzystwie Eleonory odwiedzał ojca w miarę często, ale z upływem czasu wizyty ustały, zostały okrojone do przekazywania paczek, ponieważ Aron z dnia na dzień oddalał się, był nieobecny i El chciała zaoszczędzić wychowankowi przykrych sytuacji, chciała, aby pamiętał ojca z dnia pierwszej wizyty. (...)

W takiej atmosferze dorastał, w takiej atmosferze na styku kilku kultur hartował się zbiór postaw najwybitniejszego szpiega dwudziestego wieku. Żyd Kron Aszlony był pracownikiem struktur wojskowych Związku Radzieckiego, znany pod nazwiskiem Witalij Somionkow i jednocześnie agentem angielskiego Secret Intelligence Service o nazwisku Mark Terwey. W latach, w których działał przyszło mu się zmierzyć z cywilizacją wschodu i zachodniego świata.

Żydzi przeszli niezwykle tragiczną drogę, dla niego tak naprawdę liczyło się tych kilkoro z rodziny Aszlony i Bramstheimów, o których wiedział na pewno. Przeszło sześć milionów ofiar, które straciło życie w holocaustie, z którymi nie był związany emocjonalnie nie odgrywał zasadniczego znaczenia. Przeżywał i współczuł ofiarom, ale poza sobą nie znał nikogo tak dalece okaleczonego przez los.

Kron Aszlony u schyłku lat sześćdziesiątych zamieszkał w spokojnym miasteczku Soverato na południu Włoch, lubił to miejsce, przypominało mu klimat Komodai z lat dziecińczych. (...)

Czesław Kowalczyk, Słupsk

Laura - na podstawie pamiętnika mojej babci rozalii



Po kolejnej bezsennej nocy z powodu uporczywego bólu, Laura przysnęła nad ranem, by obudzić się na odgłos kukułki zegara w salonie, wykrzykującej godzinę ósmą. Z trudem uniosła ciężkie powieki i rozmasowała dłońmi twarz

Zaspana usiadła na swoim metalowym łóżku i wlepiła wzrok w sękatę deski podłogi. Przez firanki wdzierało się blade światło poranka. W jego czerwono-złoty smugach unosiły się srebrzyste drobinki kurzu. Zza okna wydobywały się dźwięki budzącego się miasta.

Laura powoli wstała i niedbałym ruchem dłoni przeczesła swoje długie blond włosy. Szyja bolała więc wygięła ją mocno, jak to robi zraniony ptak, aż chrupnęło. Biorąc głęboki oddech ze skamieniałą twarzą podeszła do okna i otworzyła je. Chłodny wiatr wdarł się do niewielkiego pokoju na poddaszu. Kolejny dzień jej staropanieńskiego życia zaczął się jak każdy inny, nie zwiastujący szczególnych zmian na lepsze jutro.

Kobieta, nie pozostawiając sobie złudzeń, otepiała parzyła na witające ją sztyletowate promienie słoneczne, które

ogrzewały jej bosc stopy, siejąc okruchy nadziei na poprawę nastroju.

Ludzie chodzili już tu i tam, krzątając się wokół własnych spraw i problemów. Karczmarz zamiatał przed swoją oberżą, kupiec głośno nawoływał przechodniów do zakupu swoich towarów, a przekupka z sąsiedniego stoiska darła się wniebogłosem, próbując zwrócić na siebie uwagę.

Na ulicy turkotała po kocich łbach dwukółka, tocząc się leniwie. Woźnica krzyczał i kłął jak szewc, bo gromadka rozbrzykanych dzieci wbiegła mu wprost pod konie, płosząc zwierzęta.

Laura odeszła od okna, podeszła do szafy, otworzyła ją i po krótkim namyśle wybrała najładniejszą swoją sukienkę z organtyny w kolorze ciepłego różu. Na głowę założyła kapełusik słomkowy z fikuśnym wykończeniem ronda. Rozejrzała się po pokoju, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół, przeżegnała się i wyszła.

Wolnym krokiem skierowała się w stronę bramy małego kościółka. Otworzyła ją z oporem, aż kute zawiasy jęknęły rozzwierając w proteście. Usiadła w pierwszej ławce, aby Najwyższy mógł ją dostrzec, a i ona mogła Mu spojrzeć prosto w oczy i zadać z głębi duszy kilka nurtujących ją pytań, na które nie znała odpowiedzi.

Schodząc z tego świata z własnej woli, musiała się upewnić, że nie ma dla niej nadziei na zmianę i nie będzie jej nikt na tym świecie optakiwał.

Nagle jej wzrok zatrzymał się na trzech bezładnie leżących na ziemi sylwetkach. Obok o ścianę stały oparte mary.

Nad nieboszczykami pochylał się ksiądz Ambroży z kościelnym Jakubem.

- Psia krew - mruknął Jakub i dorzucił jeszcze kilka szpetnych przekleństw ku przerażonemu spojrzeniu księdza.

- O bogowie - jęknął ksiądz, rozpoznając w zmarłych rodzinę Morawskich.

- Ale co się stało? - Zapytał sam siebie Jakub, kiwając z niedowierzaniem głową. Obok ojca pana Morawskiego z grymasem przerażenia leżała jego żona i w skulonej pozycji ich syn.

W Lublinie panowała tajemnicza choroba zwana hiszpanką. - Czyżby ona była sprawczynią tego okrutnego nieszczęścia? - przemknęło przez myśl kościelnemu, który dopiero teraz zauważył klęczącą Laurę. Dziewczyna nie spuszczała wzroku z Jezusa wiszącego na krzyżu.

Odrętwiała z przerażenia Laura widząc rozmiar nieszczęścia, którego stała się mimowolnym świadkiem, nagle uświadomiła sobie, że z bocznej nawy za nią dobiega słabe kwilenie niemowlęcia. Obejrzała się za siebie. Nikogo tam nie było jednak. To znaczy nie zauważyła żadnej dorosłej postaci. Ale... słuch ją nie mylił. Uświadomiła sobie, że to nieszczęście spotkało jej sąsiadów z oficyny. Skoro tak, brakuje niemowlęcia.

Jeszcze raz przyklękła, aby dokończyć swoją modlitwę.

- Dziecko na pewno zostało samo w mieszkaniu. O Boże!... co z Rozalką? - przypomniała sobie jego imię. - Może żyje?

Myśli bombardowały jej umysł ze zdwojoną siłą. Podebrała się z klęczek i czym prędzej popędziła na ośle, potykając się o przechodniów.

Nadprzyrodzona chyba siła unosiła ją, dodając przystoiwowych skrzydeł. Gdy stanęła przed drzwiami Morawskich, bez pukania i czekania na zaproszenie z zewnątrz, pchnęła je z całej siły. W progu nagle wyrósł rosty młody mężczyzna o czarnym, od kilku dni nie golonym, zarostcie.

- Och witaj, Laura! - Ucieszył się na jej widok. Laszlo Budzyn, syn emigranta z Węgier trzymał na rękach zawiniętą w kraciastą chustę trzymiesięczną Rozalkę, która zanosila się płaczem. Laszlo terminował u kowala.

Chłopak obejmował niezdarnie swoimi wielkimi łapskami niemowlę, próbując je na swój sposób uspokoić.

- Józefie święty! Laszlo, co tutaj się stało?!

Węgier chyba sam zadawał sobie to pytanie, bo stał na rozstawionych nogach jak zaporą.

- No suńże się, cholera! - ponagliła go Laura.

Zdenerwowana kobieta odepchnęła mężczyznę i sprytnym ruchem jednocześnie odebrała zanoszące się płaczem niemowlę. Przytuliła do piersi i zaczęła głaskać po główce. Laszlo nadal stał i patrzył na Laurę, która starała się uspokoić dziewczynkę. Po chwili ruszył do kuchni, aby znaleźć butelkę z mlekiem. Laura tuliła małą, a spływające na nią nieoczekiwane macierzyństwo zacierało widmo jej bezsilności, która owładnęła ją tego ranka.

- Dziwne - mruknęła sama do siebie, kładąc w kotłuskę uspokojone i nakarmione dziecko.

Laszlo wymknął się niepostrzeżenie, pozostawiając uchylone drzwi. Na stole leżała kartka, na której koślawym pismem wykaligrafował informację dla niej: „Będę z mlekiem”.

Do pokoju wwiało trochę chłodu, który sprawił, że na ciele Laury pojawiła się gęsia skórka.

- Co ja chciałam, Boże, najlepszego zrobić? Co stałoby się z tym bezbronny dzieckiem, gdybym popełniła samobójstwo? Zadając sobie te pytania, długo wpatrywała się w pobielany wapnem sufit i powoli dochodziła do siebie. Spojrzała na śpiącą dziewczynkę i uśmiechnęła się pierwszy raz od wielu miesięcy.

W bogatym dworze w Kurowie wraz z dziadkami Nikodemem i Marią wychowywała się Laura. Była jedyną ich wnuczką, której matka zmarła w połogu. Niezwykle urodziwa dziewczynka miała filigranową budowę ciała i niesłychanie wrażliwą psychikę. Dziadkowie, bogaci ziemianie byli jedynymi jej krewnymi. Starali się, aby wychowywała się w dostatku i pod okiem dwóch guwernantek uczyła się łaciny i wielu innych przedmiotów potrzebnych panience z dobrego domu.

Szczególną troską otaczano jej wątłe zdrowie, gdyż występujące u niej ataki epilepsji - choroby na tamte lata nie znanej, a postrzeganej jako opętanie przez złe moce - występowały dość często.

Kiedy Laura skończyła osiemnaście lat, jej babcia Maria odeszła we śnie, a dziadek postanowił ją wydać za bogatego kupca żydowskiego, starszego od niej o całe dwadzieścia dwa lata.

Dwudziestego pierwszego marca 1865 roku Nikodem nie chcąc, aby jego ukochana Laurka została starą panną, postanowił wydać przyjęcie zaręczynowe.

W nocy, w pełnej poświęcie księżycy, Laura tkając w szydełkowaną koronkami poduszkę, usłyszała głos zmarłej babki, która odradzała jej to małżeństwo bez miłości, a jedynie zawarte w celu pomnożenia majątku.

Rano, kiedy Laura wyszła do ogrodu i zaczęła przechadzać się, podziwiając budzącą się do życia przyrodę, i rozpamiętując nocny dyskurs z nieboszczką, powzięła decyzję, że mimo wszystko nie będzie się sprzeciwiać woli swego opiekuna i podpisze ślubną intercyzę.

Stawiwszy się na umówioną godzinę w gabinecie dziadka, Laura sięgnęła po pióro i wtedy... stało się coś dziwnego. Jakaś nadprzyrodzona siła - jakby w celu przeszkodzenia złożenia podpisu - wywołała u niej silny atak epileptyczny. Dziewczyną zatrzęsło tak silnie, że obecny przy tym opiekun z trudem odjął jej dłonie od poręczy wieńczącej blat biurka. Kałamarz całą swoją zawartość atramentu wylał na nieszczęsny dokument.

Dla Laury był to widomy znak, że jej babcia Maria czuwa przy niej i nie ma po co próbować zmieniać jej zdania. Rozpacz dziewczyny była tym większa, że wykrzykując iż nie godzi się na zamążpójście, sprzeciwiła się woli dziadka, hańbiąc nie tylko jego dobre imię, ale i swoje własne oraz potencjalnego narzeczonego, który zgodził się z nią ożenić. Pomimo jej ułomności zdrowotnych; częstych ataków odczytywanych przez ogół jako kumanie się z diabłem.

Nieszczere intencje narzeczonego wobec Laury znała tylko babcia, która była na tamtym świecie i nad wszystkim czuwała.

Wkrótce po zaistniałym incydencie dziadek poważnie się rozchorował i mimo troskliwej opieki wnuczki, umarł. Młoda dziewczyna została zupełnie sama z ogromnym majątkiem, ale bez żadnego pojęcia, jak nim zarządzać. Bez mężczyzny, który mógłby ją wspierać i jej pomagać.

Laura kilkakrotnie jeszcze odrzucała zaloty innych kawalerów, upatrując w nich jedynie chęci zagarnięcia dóbr Kurowa, a babka jeszcze kilkakrotnie w nocy prowadziła z nią dysputy co do losów majątku, namawiając wnuczkę, aby sprzedała dobra i przekazała fundusze na budowę kościoła w Lublinie. W domniemanym zamysle nieboszczki pozostawała nadzieja, że ofiara sprawi wyswobodzenie wnuczki z mocy uciążliwej choroby.

15 maja 1876 roku majątek ostatecznie został sprzedany. Laura kupiła kamienicę w Lublinie przy ulicy Brukowej, a resztę pieniędzy przekazała na budowę kościoła.

**Zofia Kamińska-Smalewska
Słupsk**



irena stopa - jordanów

Jest rodowitą góralką, mieszka w Jordanowie koło Rąbki. Wiersze pisze - jak mówi - starą metodą rymowaną, tak jej się same układają na różne okazje - śluby, uroczystości szkolne. Traktują też o „zatrutej przyrodzie”, miłości, o smutku i naszych, polskich górach. Należy do Koła Ludowego, ostatnio zdobyła I nagrodę w Sabatowych Bajaniach w Bukowinie Gatrzańskiej za swoje bajania i wyróżnienie za opowieść w odbywających się od dwudziestu lat w Przybędzy koło Żywca - Posiadach Gawędziarskich i Przeglądzie Instrumentalistów Ludowych. (z)

MODLITWA

Hań w Tatrach wysoko
Kany mgła opisuje scity
Ka horyzont na skale podpisał umowę
swojum

Hań posyłam myśl mojom
Za chłopa
za dzieci
za całe moje gazdowanie
Do Ciebie modlę się Panie.
Już mgła zeszyła w doliny
w ubocy zbierała maliny
w wartkim potoku
napiała się wody,
a na sianie narobiła szkody.
Na Anioł Pański biją dzwony,
na Kolna!
Trza wychwalać Pana.
Za kwiatki
za zioła co rosną pod miedzą
za te grzeszne myśli
co mi w dusi siedzą
miej pomilowanie

modlę się Panie.
Słońce spalone odwraca oblicze
kielo dobroci dało tego nie policze.
W lesie cymice już oświeciło
i dziecię rada malinki zjada.
Już wieczór zagląda.
Słonko niesie ciyń
ku chałpie krowy żyń.
Zaś wiatr leciutki
zapach czystości
z pół mi przynosi
cłowiek zaś do góry
łocy unosi.
I chociaż prostą mam
moją duszę
do Tego Pana modlić się muszę.
Za chatę
co tam pod lasem
z dala śpiewania słycać czasem
prostota chodzi z obyczajem
na polną ścieżkę
wieczór pod gajem.
Za tą błotnistą drogę

po której chodzić już nie mogę
za troski moje
za śpiew słowika za to że zdrowie mi
już umyka
za to że zło topnieje
modlę się Panie.
O dobre jutro
daj mi nadzieję.

LEŚNA SYSKA

Kot wysyła sms-y miłosne
Już w powietrzu czuć wiosnę
ptaki w pary się wiją
w serduszkach miłość czują
piórka lecą, szybują
i gniazdeczka szykują
i o zdrowie spytują.
Złapię dla nas tę miłość
pierwsza ukryję dla siebie
spijemy razem ten nektar
który produkują
gdzieś w niebie



marian kwidziński - białogard

Moje pochodzenie ma korzenie wiejskie na ziemi kaszubskiej. Moje wiersze w języku kaszubskim już się ukazały w „Stegnie”. Jestem członkiem Krajowego Bractwa Literackiego w Koszalinie. Ujawniłem się w kilku konkursach literackich, m.in. „Literacki start” i „Istota człowieka” w Koszalinie, w których zostałem wyróżniony - napisałem w liście do „Wsi”. - Wiersze moje także były prezentowane na antenie Polskiego Radia Koszalin w audycji „Poczta poetycka”. (z)

DEPESZE SŁÓW

Po co dziś kolekcjonować sparciałe ideały
Wypracowane morgami przelanej krwi
Dziś militarizm przeżytkiem się staje
A nowe ideały nie mają korzeni
Dużo trocin podsycia ogień kłótni
Wszyscy chcą na czymś zarobić

Tylko ptaki nieba budują swe gniazda
z nauyku

I nie martwią się o ekologię
Można ukrywać swą niechęć do jutra

Tylko codzienność chce zaspokajać swój
apetyt po trochu

A wiatr najzwyczajniej
Pogrywa sobie spokojnie z liśćmi w pokera

PÓJDE DO CIEBIE

Pójdę do ciebie jak niebo widno
cichutko ubiorę marzenie bezradne
wtulony w bibułę grzechu nierówno
w emaliowy wizerunek promieniem

zechciej zaczekać tam gdzie
Bóg czuje się samotnie

Pójdę do ciebie po gruzach epoki słów
by zasnąć u stóp jak zraniony ptak
nie pilnując swego odgadnięcia

(Jak trudno jest objąć geometrię życia
najkrótszą linię co łączy dwoje)

Popatrz jak rośnie mgła
nim dojdziemy za horyzont
niech raduje się chrust
pod stopami naszymi

Popatrz jak cicho spadł wieczór
W kamień co nie czuje odleżyn